

Lublin
2009



LUBELSKIE LATA

**EDWARDA
STACHURY**

WSTĘP
WALDEMAR
MICHALSKI
POSŁOWIE I
OPRACOWANIE
DARIUSZ
PACHOCKI

MIROSLAW DERECKI

OSRODEK „DRAHA GRODZKA - TEATR NN”

Redakcja:

Dominika Majuk, Aleksandra Zińczuk

Projekt okładki:

Małgorzata Rybicka

Skład:

Tomasz Smółka

Wydawca:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

www.tnn.pl

Druk:

Petit Skład–Druk–Oprawa

ul. Tokarska 13, 20-210 Lublin

www.petit.lublin.pl

Nakład:

1000 egz.

Serdecznie dziękujemy Pani Ewie Mościbrodzkiej-Dereckiej
za zaufanie i zgodę na publikację I części książki Mirosława Dereckiego
Lubelskie lata Edwarda Stachury. Okolice artystów.

Dziękujemy spadkobiercom praw autorskich utworów Edwarda Stachury
– których reprezentuje Pani Monika Stachura – za zgodę na wykorzystanie
poezji, listów oraz udostępnienie zdjęć Edwarda Stachury.

Pani Władysławie Zossel-Wojtysiakowej dziękujemy za zgodę na publikację listów
i udostępnienie taśm z nagraniem spotkania z Edwardem Stachurą.

Dziękujemy Dyrektorowi Archiwum Uniwersyteckiego KUL Markowi Pawelcowi
za udostępnienie dokumentów Edwarda Stachury.

Zdjęcia Edwarda Hartwiga pochodzą ze zbiorów Archiwum Fotografii
Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” (s. 12, 26, 34, 42) oraz z albumu:
Lublin. Fotografie i opracowanie Edward Hartwig, Warszawa 1956 (s. 52, 70).

Tekst Mirosława Dereckiego © Ewa Mościbrodzka-Derecka

Wstęp © Waldemar Michalski

Posłowie, przypisy, opracowanie © Dariusz Pachocki

Projekt okładki © Małgorzata Rybicka

© Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ISBN 978-83-61064-06-0

Lublin 2009

Spis treści -

1. Mirosław Derecki (1936-1998)	4
2. Ślady i pamięć	7
3. Lubelskie lata Edwarda Stachury	13
4. Posłowie	89
5. Indeks osób	95
6. Aneks	101

Mirosław Derecki (1936-1998)

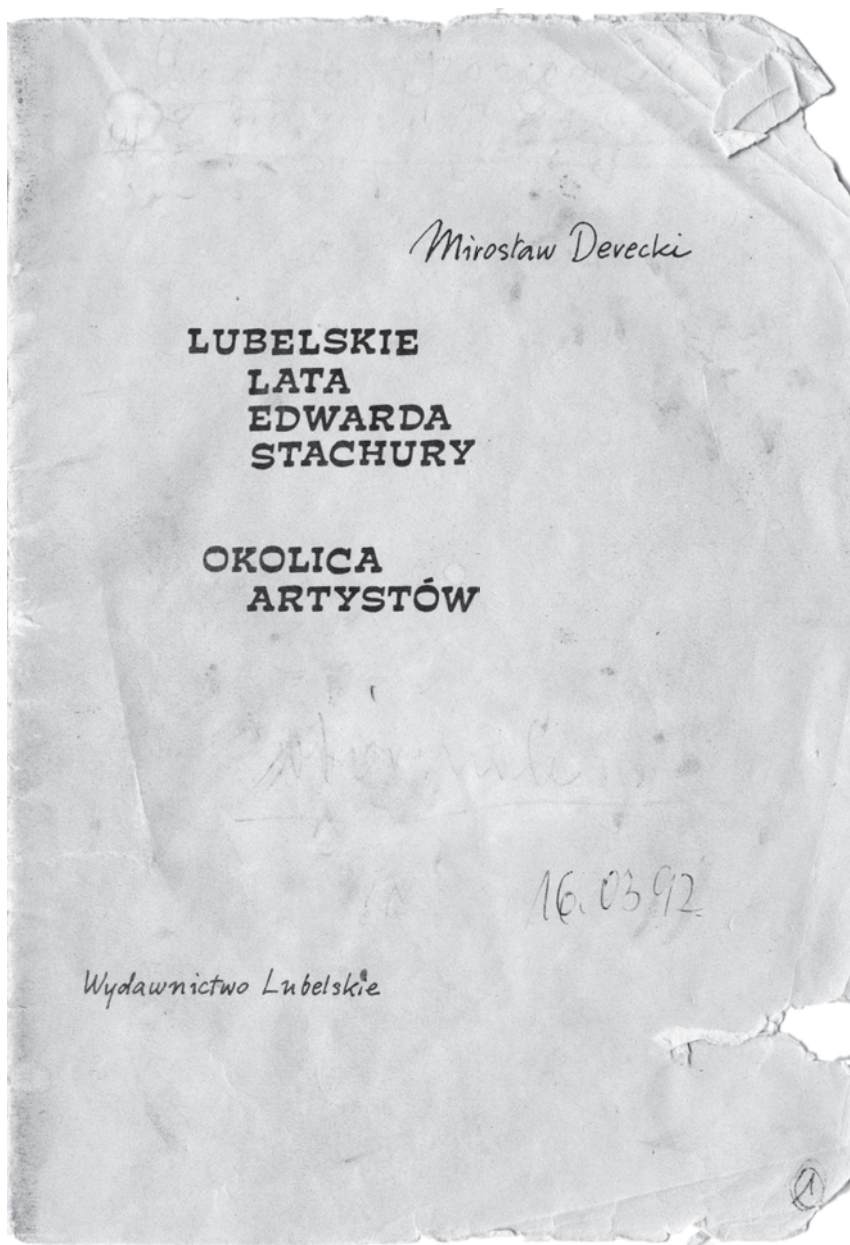
Opisywał Lublin, którego już nie ma, przywoływał ludzi, którzy odgrywali wielką rolę w kulturze miasta. Sam mówił o sobie: *Ku swemu zdziwieniu odkryłem w sobie kronikarza, kogoś, kto dokumentuje epokę. Właśnie w tym odnalazłem siebie...*

Mirosław Jan Stanisław Derecki urodził się w Lubartowie, lecz większość dzieciństwa przebywał w Karczmiskach, w domu ukochanych dziadków Pic de Replonge. Czasy szkolne spędził w Lubartowie i Lublinie. Pragnął uczyć się aktorstwa, zdawał na Akademię Medyczną, zaś został studentem weterynarii. W trakcie studiów rozwijał swoje zainteresowania teatralne: uczestniczył w kółku dramatycznym studentów UMCS, grywał epizodycznie w Teatrze im. J. Osterwy, współpracował z Teatrem Lalki i Aktora, zaangażował się w działalność kabaretu „Sex” (1957), który wystawiał swoje programy w studenckim klubie „Piwnica” na Starym Mieście. Z tego okresu pochodzi jego znajomość ze studentką historii sztuki KUL, Ewą Mościbrodzką, późniejszą żoną. Pisząc teksty kabaretowe odkrył w sobie pasję pisarską. Jego pierwsze opowiadania i reportaże drukowała „Kamena” (1958). Udzielał się w kulturalnym życiu Lublina kierując klubem „Zamek” w Wojewódzkim Domu Kultury czy słynnym klubem „Nora”. Jednak zawodo-
dowo związał się z dziennikarstwem.

Utrzymywał stałe kontakty z redakcjami mediów lubelskich: „Kameny”, „Kuriera Lubelskiego”, „Medicusa”, „Sztandaru Ludu”, radia i telewizji. Jego praca reporterska została doceniona – w 1966 roku otrzymał I Nagrodę Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej SDP. Od 1991 roku na stałe współpracował z „Gazetą w Lublinie”. Zamieścił tam 320 tekstów z cyklu *Weekend wspomnień*, które ukazywały się przez ponad siedem lat.

Pisał książki poważne, dokumentalne, ale i reporterskie gawędy, w których utrwalił Lubelszczyznę. Drukiem ukazały się reportaże historyczne poświęcone działalności majora Henryka Dobrzańskiego *Śladami hubalczyków* (1971), *Tropem majora Hubala* (1982). Na podstawie tej ostatniej książki Kazimierz Braun wystawił sztukę na scenie „Reduta 70” Teatru im. J. Osterwy. Materiały do książki *Na ścieżkach polskich komandosów* (1981), która przedstawia wojenne losy Samodzielnej Kompanii COMMANDO, zbierał w Londynie. Opracował i przygotował do druku pamiętniki Wacława Flisińskiego *Od łagrów Komi do winnic Italii* (1992). Jego najbardziej osobista książka *Na studenckim szlaku* (1995), opowiada o lubelskim życiu akademickim w latach pięćdziesiątych. Pomimo ciężkiej choroby Mirosław Derecki pisał i publikował do samego końca. Zmarł 24 czerwca 1998 roku.

„Gazeta Wyborcza” wydała pośmiertnie zbiory jego reportaży: *Weekend wspomnień* (1998) oraz *Mój Kazimierz* (1999), zaś w 2008 roku dzięki staraniom Lubartowskiego Towarzystwa Regionalnego ukazał się zbiór esejów *Mój Lubartów*. Niewydaną w całości książką Mirosława Dereckiego pozostają *Lubelskie lata Edwarda Stachury. Okolica artystów...*



Strona tytułowa „szczotek” korektorskich przygotowanych przez Wydawnictwo Lubelskie w 1990 r. Planowany nakład książki *Lubelskie lata Edwarda Stachury. Okolica artystów* miał wynosić 10 tys. egz.

Ślady i pamięć... -

*a mnie to już nikt dawno tak bardzo
dawno tak bardzo już nikt
nie pielęgnował*
(Edward Stachura)

Dla poezji oddał wszystko. Swój czas, rodzinę, małżeństwo, życie. Nie na darmo napisał: *Wszystko jest poezja*. Z poezji uczynił sposób na życie. Ciągłe wychodził jej naprzeciw. Gdyby mógł dla poezji zapewne zrezygnowałby z jedzenia i spania. Nieustannie podróżował wędrując po świecie i Polsce. Matka mówiła o nim „poeta-włóczęga”. Henryk Bereza jego życie i twórczość określił słowem „życiopisanie”. Edward Stachura – kultowy poeta i prozaik pokolenia młodzieży drugiej połowy XX wieku. Czym fascynował tysiące młodych entuzjastów? Nie miejsce tu na odpowiedź na to pytanie. Faktem jest, że można mówić o „zjawisku Stachury”, o fenomenie angażującym uwagę tysięcy młodych ludzi. Co odnajdywali w jego twórczości za życia i po przedwczesnej śmierci? Przede wszystkim pokoleniową tęsknotę za niemal mistyczną wiarą w potęgę miłości, za doświadczaną na co dzień bezinteresowność i przyjaźń. Pokolenie wychowane na hippisowskich tradycjach w jego podróżach widziało także namiastkę wolności. W melodyjnych, często refrenicznie układających się wersach odnajdywało harmonię, piękno słowa obecne w zasięgu ręki. Stachura po franciszkańsku był inny od tego, co działo się oficjalnie wokoło, w czasach tzw. „małego realizmu” w sztuce i życiu. Awansował do rangi idola, choć tego rodzaju „misja” była mu z ducha i życiowej postawy raczej obca.

Dwojga imion Jerzy Edward Stachura urodził się 18 sierpnia 1937 r. w rodzinie polskich emigrantów we Francji. W 1948 r. Stachurowie wraz z czworgiem dzieci i skromnym dobytkiem powrócili do Polski i zamieszkali w Aleksandrowie Kujawskim. Po maturze uzyskanej w Gdyni w 1956 r. nawiązał kontakt z młodoliterackim środowiskiem Gdańska. W tamtejszym czasopiśmie młodych pt. „Kontrasty” (nr 5 z 1956 r.) opublikował swoje pierw-

sze wiersze, zaś w dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Uwaga” (nr 6 z 1957 r.) ukazały się kolejne dwa. W Gdańsku też próbował dostać się na wydział malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, jednak bezskutecznie. W 1956 r. jako „wolny słuchacz” uczestniczył w zajęciach na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Równocześnie brał udział w działalności Klubu Młodych Twórców i publikował w toruńskim efemerycznym piśmie młodych „Helikon” (z 3 grudnia 1956 r.).

Nie bardzo wiadomo jakimi motywami kierował się Edward Stachura podejmując jesienią 1957 r. studia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Być może zdecydował o tym „drugi termin egzaminów wstępnych” jaki ogłosił KUL, być może zdecydowały o tym względy zasadnicze, a więc światopoglądowe, ale młody Stachura należał raczej do ludzi „wierzących po swojemu”.

Stachurę poznałem, kiedy „waleutował” w domu studentów KUL przy ulicy Sławińskiego 8 (dziś ul. Niecała). Późnym wieczorem, korzystając z nieuwagi portiera, wślizgiwał się do akademika. Pokoje były tu ośmio a nawet dziesięcioosobowe. Na piętrowych żelaznych łóżkach zawsze znalazło się jakieś wolne miejsce. Blondyn o lekko kędzierzawych krótkich włosach, średniego, ale słusznego wzrostu o dosyć mocnej sylwetce zwracał naszą uwagę także ubiorem: lekko wyblakłym granatowym dżinsowym oryginalnym strojem – taka bluza i spodnie były wówczas marzeniem każdego młodego chłopaka. Na gołe materace łóżka kładł się ubrany, tak jak chodził. Zamiast poduszki podkładał pod głowę kilka numerów kolorowego magazynu „Paris Match”. Wiedzieliśmy, że pisze, chodził więc w glorii poety i to tłumaczyło różne jego obyczaje. Sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Nie szukał biesiadnego towarzystwa, sam wybierał przyjaciół i towarzyszy rozmowy. Spotykałem go w towarzystwie Andrzeja Babińskiego, wówczas również studenta KUL, który także mienił się poetą, choć nikt nie znał jeszcze jego wierszy. Z owego czasu, z akademika, pochodzi znajomość Stachury z Wacławem Tkaczukiem, studentem pierwszego roku polonistyki. Później przerodziła się ona w serdeczną zażyłość potwierdzoną licznymi listami i spotkaniami. Gdy Wacław instalował się w Warszawie, czasowo mieszkał u Stachury. Był też współorganizatorem pogrzebu poety. Tkaczuk interesował się od zawsze poezją, stąd może wspólny język ze Stachurą. Bywały noce, że Stachura nie pojawiał się w akademiku. Któregoś wieczoru przyszedł do akademika lekko kulejąc. Okazało się, że w kawiarni „Lublinianka” wdał się w jakąś awanturę. Doszło do rękoczynów. Ostatecznie ratował się... wyskakując z wysokiego piętra przez balkon na chodnik. Bardziej zorientowani w jego obyczajach mówili, że gra namiętnie i skutecznie w pokera. Że

karta mu „idzie”, i że w ten sposób zdobywa pieniądze na życie. Pieniądze go się nie trzymały. Oddawał długi, gustował zwyczajem francuskim w dobrym winie, pożyczal potrzebującym. Miał gest. W domu akademickim na pierwszym piętrze korzystaliśmy z łazienki. Palacz podgrzewał wodę w węglowym piecu i pobierał od każdego studenta symboliczne grosze. Wchodzimy ze Stachurą do łazienki, płacę swoją dolę, a Stachura wręcza „kotłowemu” 20 zł. To wówczas były duże pieniądze. Można było za nie zjeść pięć dobrych obiadów. Palacz mówi, że nie ma wydać. Na to Stachura: „nie trzeba, dziś płacę, bo mam, jutro może przyjdę bez pieniędzy...”

Dopiero 4 listopada 1957 złożył podanie o przyznanie mu miejsca w domu akademickim i stypendium żywnościowe (KUL nie przyznawał stypendiów pieniężnych, studenci otrzymywali „bloczki” żywnościowe do wykorzystania w uniwersyteckiej stołówce). Oto fragment jego podania: „Prosbę motywuję dosłownie tragiczną sytuacją. Mieszkam „na waleta” w akademiku UMCS-u. Żadnej pomocy znikąd się nie spodziewam, oprócz nędznych honorariów z pism za wiersze. Nie posiadam również kart żywnościowych. Od dwóch dni żywię się suchym chlebem ze stołówki. Nie ma w tym ani odrobiny przesady”.

Otrzymał stypendium i miejsce w domu studentów KUL. Mógł już oficjalnie wejść do akademika z gitarą przewieszoną przez plecy i skromnym pakunkiem w ręku. Zakwaterowany został w pokoju 10 osobowym na pierwszym piętrze. Jego współlokator, dziś profesor KUL, Tadeusz Gałkowski, wspomina Stachurę, jako kolegę sympatycznego, przyjaznego i... rzadko goszczącego w pokoju, za to regularnie przesypiającego poranne obowiązkowe lektoraty (rozpoczynały się w odległym budynku KUL zwykle o 7 lub 7.30 rano!). Ireneusz J. Kamiński mówi o przesadnej, niemal narcystowskiej, dbałości o czystość. W wieloosobowych pokojach nie było warunków do nauki. Dlatego wydzielono w budynku salę, tzw. świetlicę, w której obowiązywała cisza i gdzie można było przyjść z książką lub „odrobić” zadane ćwiczenia. Z obserwacji mogę powiedzieć, że nigdy Stachury w „świetlicy” nie widziałem. Gdzie pisał wiersze i kiedy, nikt nie byłby w stanie powiedzieć, a był to przecież czas w literackim życiu Stachury bardzo aktywny. Natomiast w pokojach często i chętnie dyskutowaliśmy o „wydawniczych rewelacjach”. W księgarniach i czasopismach pojawili się Sartre, Hemingway, Vercors, Steinbeck. Bywało, że dyskusje miały bardzo „wysoką temperaturę”. Wtedy Stachura wyciągał gitarę i śpiewał Brassensa...

Lubelski rozdział życia studenckiego Stachury zamyka data 12 listopada 1959 r., tego dnia został oficjalnie skreślony z listy studentów „z powodu

niepodjęcia zajęć”. Kilka miesięcy później przyjechał do Lublina i odebrał z kancelarii Wydziału Nauk Humanistycznych KUL swoje dokumenty. W jego indeksie w rubryce „Świadection odejścia” znajduje się następujący wpis: „Ob. Stachura Jerzy, student II roku na sekcji filologii romańskiej wystąpił z KUL dnia 12 listopada 1959 r. z powodu niepodjęcia zajęć uniwersyteckich. Lublin, 6 lipca 1960 r.”.

Do Lublina i na Ziemię Lubelską przyjeżdżał jeszcze wielokrotnie. Miał tu przyjaciół i znajomych z czasów studenckich, których odwiedzał, u których nocował i z którymi korespondował. Zachowały się jego listy m.in. do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Stachura darzył go niemal ojcowskim uczuciem i szacunkiem jako poetę-seniora i redaktora „Kameny”. O Zygmuncie Mikulskim – poecie i redaktorze dodatku kulturalnego do miejscowego dziennika „Sztandar Ludu” wyrażał się zawsze z sympatią. Z rówieśników Stachura szczególnie wyróżniał poetę i barda Kazimierza Grześkowiaka oraz Mirosława Dereckiego, któremu powierzał pieczę nad swoimi tekstami przesyłanymi do Lublina i który był pierwszym lektorem jego utworów na lubelskim autorskim spotkaniu Stachury w klubie „Nora” (dnia 2 lutego 1960 r.). Korespondował także z polonistką Władysławą Zossel – koleżanką z czasów studenckich na KUL. W lubelskim kręgu bliskich i znajomych są także inne osoby, jest m.in. Wojciech Papież – związany z ówczesną „cyganerią” studentów historii sztuki KUL, była wszystkim młodym poetom bardzo życzliwa i pomocna p. Olga Gajewska – sekretarka lubelskiego oddziału ZLP, Zbyszek Strzałkowski, z którym dzielili się zwycięstwa i smutki lubelskiego życia literackiego, był Tadeusz Kłak, który od zawsze interesował się młodą poezją i który pierwszy sformułował i opublikował w „Kamenie” opinię o niepoślednim talencie poetyckim Stachury, był także Stanisław Jan Rostworowski, u którego Stachura jako student nocował, a gdy zimą marzył w lekkiej bluzie Rostworowski podarował mu swoje palto... Odrębnym rozdziałem w „lubelskim” życiu Stachury wydaje się być Annopol. Tu kilkakrotnie gościł poeta u państwa Rychertów (ostatnia wizyta 7-13 sierpnia 1974 r.). Starsze samotne małżeństwo przyjmowało go niemal jak swojego syna. Stachura rewanżował się im pracami w gospodarstwie, m.in. rąbał drzewo, pomagał w pracach polowych, kosił zboże i łąkę. Wizyta u Rychertów stała się kanwą opowiadania Stachury pt. *Pod Annopolem* zamieszczonym w tomie *Falując na wietrze* (1966).

Pamięć o poecie i prozaiku Edwardzie Stachurze pozostaje w Lublinie nadal żywa. Ślady i dokumenty jego obecności tutaj znajdują się w wielu instytucjach i domach prywatnych. W 1972 r. pojawił się w Lublinie Janusz

Kukliński – przyjaciel Stachury z lat warszawskich. Na Sławinku, w odziedziczonym drewnianym domku wraz ze szklarnią, powołał do istnienia „Poetycki Zakład Ogrodniczy”. Kukliński gromadził na wyremontowanym stryszku pamiątki po poecie. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych było to centrum, do którego niemal ciągnęły pielgrzymki młodych entuzjastów Stachurwego dzieła. Do pamięci Stachury w Lublinie znacznie przyczynił się „Akcent”, publikując na swoich łamach eseje o twórczości poety jak również jego listy.

Dobrze się stało, że Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” zdecydował się na wydanie eseju Mirosława Dereckiego pt. *Lubelskie lata Edwarda Stachury*. Książka ukazuje się w pięćdziesięciolecie pierwszego spotkania autorskiego dwudziestodwuletniego Stachury w Lublinie (Klub studencki „Piwnica” na Starym Mieście, 18 lutego 1959 r.) oraz w trzydziestą rocznicę śmierci poety (Warszawa, 24 lipca 1979 r.). Mirosław Derecki (1936-1998) – znakomity gawędziarz, prozaik, eseista, redaktor „Kameny” całym swoim życiem twórczym związany był z Lublinem. Jego tekst o Stachurze udośćpniła z domowego archiwum żona autora p. Ewa Derecka. W zamyśle pisarza rzecz przygotowana do druku składała się dodatkowo ze szkiców o Konradzie Bielskim i Wacławie Gralewskim. Wydawnictwo Lubelskie, które w latach dziewięćdziesiątych przygotowało już „szczotki” korektorskie (całość ma podtytuł *Okolica artystów*), niespodziewanie, tłumacząc się problemami finansowymi, wycofało się z zamiaru publikacji książki. Relacja Dereckiego czekała na druk wiele lat, ale rzecz nie straciła nic ze swojej atrakcyjności i rangi niemal dokumentu. Zawiera wiele szczegółów i wydarzeń nie tylko dotyczących Stachury, ale także ówczesnego życia literackiego Lublina. Derecki ma dar przedstawiania w kilku zdaniach znaczące i ciekawe sytuacje, potrafi znakomicie charakteryzować postaci w działaniu, język jego narracji jest żywy i barwny. Tekst czyta się z jednakowym zainteresowaniem, tak jakby się słuchało gawędy Mirka, który wprawdzie odszedł, ale jest ciągle obecny wśród nas. Warto zauważyć, że książka, o druk której tak bardzo autor zabiegał, ukazuje się dopiero dziś – dziesięć lat po jego śmierci. Derecki pierwsze relacje na temat Stachury drukował już w 1986 r. w „Kamieniu”, następnie teksty w wersji poszerzonej publikował w roku 1994 w „Gazecie w Lublinie”. Zebrane i opracowane na nowo stały się zaczynem relacji, która trafia właśnie do rąk czytelników.

Waldemar Michalski



Rynek Starego Miasta, widok z Bramy Krakowskiej, lata 50. XX w.
Fot. Edward Hartwig.

Lubelskie lata Edwarda Stachury

*Jak długo pisana mi jeszcze włóczęga?
Ech, gwiazdo – ogniku ty błędny mych dni.
Spraw, by skończyła się wreszcie ta męka.
I zapędź, do czułych zakulaj mnie drzwi! -*
[...] -

*Zbierają się ptaki, ruszają na szlak,
Już lecą, wprost lecą, nie błędzą jak ja. -*
[...] -

(Z piosenki Edwarda Stachury – Dookoła mgła) -

1 -

Nie przypominam już sobie, kto pierwszy powiedział mi o Stachurze wtedy, w 1957 r. Może młody poeta Andrzej Tchórzewski, może Zbyszek Domarańczyk, student filologii francuskiej KUL, współtwórca powstałego w 1957 r. studenckiego kabaretu „Sex”, w którym razem występowaliśmy? Musiał to być chyba jednak Zbyszek; Sted rozpoczął właśnie studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na romanistyce, gdzie Domarańczyk – przyszły reporter i publicysta specjalizujący się w problematyce dalekowschodniej – pływał już od roku jak ryba w wodzie, znając wszystko i wszystkich.

Piszę – „Sted”, a nie – Edward lub Edek Stachura, bo takiego imienia-pseudonimu używał on sam, sam go sobie wymyślił; to słowo krótkie, suche, dosadne, zdecydowane, niby strzał z Colta. Sted – to było imię ze świata marzeń. Ale także: pseudonim-konkret, wzięty z pierwszych zgłosek własnego nazwiska i imienia: ST-achura ED-ward.

Krzysztof Rutkowski we wstępie do pięciotomowego pośmiertnego wydania utworów Edwarda Stachury *Poezja i proza* (wydanie pierwsze ukazało się w 1982 r., drugie – w 1984 r., obydwa w ogromnym, kilkudziesięciotysięcznym nakładzie, który rozszedł się błyskawicznie wśród młodych wielbicieli jego twórczości) pisze m.in.: „Bardzo trudno byłoby spisać wszystkie podróże po kraju, które podejmował Stachura. Z pewnością łatwiej jest ustalić, kiedy przebywał w Warszawie. [...] Dla Stachury bycie w drodze było sposobem życia, tak jak dla innych sposobem życia jest zamieszkanie w określonym, jednym miejscu”. I dalej: „Sted – znaczy po norwesku: miejsce, miasto. Tam mieszkam, gdzie jestem. O kosmopolityzmie nie może tu być w ogóle mowy [...]”.

To bardzo ładne norweskie słowo „sted” istotnie pasuje do wyводу na temat Stachurowego „bycia w drodze”. Ale nie stąd wziął się pseudonim Steda. W lubelskich latach Poety był ten pseudonim tak zrośnięty z sylwetką Edwarda Stachury, z tym, jak on wyglądał, jak się zachowywał, co i jak pisał, że do tej pory dla nas wszystkich, którzy znaliśmy go w tamtym okresie, Stachura pozostał na zawsze po prostu – Stedem...

A właśnie: lubelskie lata Stachury; jakże mało wiadomo było przez długi czas na ich temat! Krzysztof Rutkowski w swym szkicu zaledwie zaznaczał, że (po zdaniu matury w Gdyni) Sted „w roku 1959 przebywał

w Lubelskiem. Początkowo studiował w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a w roku akademickim 1960-61 zapisał się na romanistykę w Uniwersytecie Warszawskim”. I tyle. Zaś w tak poważnym i źródłowym wydawnictwie, jak *Słownik współczesnych pisarzy polskich* (t. II, Warszawa – Łódź 1978), w haśle dotyczącym Edwarda Stachury zamieszczono wiadomość, iż: „W 1959/60 studiował na KUL, po czym rozpoczął studia romanistyczne na UW”. I ani słowa więcej na temat tych z górą dwóch lat, kiedy to Stachura studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Albowiem studia rozpoczął on w Lublinie nie w roku akademickim 1959/60, ale w 1957/58. W kilka miesięcy później, wiosną 1958 r. ukazały się na łamach lubelskiego „Sztandaru Ludu” wiersze Steda. Było to, nawiasem mówiąc, w niespełna dwa lata po debiucie Edwarda Stachury w gdańskim periodyku „Kontrasty” (nr 5 z 1956 r.) wierszami *Brudny pijak*, *Tępyimi nożami* i *Przestroga*.

*

Pierwszy raz zobaczyłem Steda gdzieś na przełomie jesieni i zimy 1957 r. chyba w okolicy placu Litewskiego. Jawi mi się w pamięci niezupełnie wyraźna sylwetka chłopaka o bardzo młodej twarzy, niebieskookiego blondyna, mającego krótkie, kręcone włosy, ubranego w jasnobłękitną dzinsową „olimpijkę” (tak wówczas mówiono) oraz „normalne” brązowe, wełniane spodnie.

W takim stroju widziałem Stachurę tylko ten pierwszy raz. Bo potem zawsze już go pamiętam w dzinsowym komplecie: krótka lub długa (sięgająca połowy bioder) bluza z denimu, błękitna, rozpięta pod szyją koszula, spodnie marki „Lee”. W takich spodniach chodzili wówczas najwięksi koneserzy dzinsowego stylu, przedkładając je nad „Levisy”; nie mówiąc już o „Wranglerach” czy, uchowaj Boże, jakichś tam prostackich „Rifle’ach”. W zimie Sted nosił jeszcze krótki, wyliniały, jasnobezowy „wiatrem podszyty” płaszcz z flauszu czy też „wielbłądziej sierści”, otrzymany zapewne w uniwersyteckim Duszpasterstwie Akademickim, a pochodzący z darów nadsyłanych przez zagraniczną Polonię. W latach następnych, już tych „warszawskich”, gdy wiodło mu się stosunkowo nieźle, widywałem Stachurę w całkiem eleganckim, kupionym na „ciuchach”, szarobłękitnym czy może szarozielonkawym „wielbłądzie”. Dopiero później, gdy zaczął wyjeżdżać za granicę, zaanektował do swego stroju wojskową, brezentową „komandosowską” kurtkę w kolorze khaki... Czapki nie nosił nigdy, uważając, że byłby

to dowód „zniewieściałości” człowieka takiego, jak on: zdrowego, sprawnego i silnego fizycznie, co zresztą zawsze lubił podkreślać. Ten kult siły i sprawności fizycznej powodował, że Sted wciąż wdawał się w jakieś burdy, bójki, jakby chcąc się sprawdzić. Natomiast nieodłącznym elementem stroju Steda w okresie jesienno-zimowym był szalik. W czasach lubelskich: krótki i wąski „moher”. Nic dziwnego, że Sted stale marzył. Może dlatego chodził rażnym, sprężystym krokiem, ale jakiś taki – przy całej swojej smukłej, zgrabnej sylwetce – jakby przygarbiony, z głową wtuloną w ramiona, z rękami w kieszeniach, żeby „zatrzymać na sobie” jak najwięcej własnego ciepła. Co pewien czas tarł mocno dłońmi zaczerwienione od mrozu uszy.

*

Na młodoartystycznym lubelskim firmamencie Stachura zabłysnął nie od razu. Z początku traktowano go trochę jak jakiegoś Janka Muzykanta poezji, dziwną postać, trampa, który przybył nie wiadomo skąd i który nie bardzo wiadomo do czego zmierza w swoim pisaniu – tak mało „intelektualnym”, o co zabiegali jego tutejsi rówieśnicy. W dodatku stronił od „literackiej kawiarni”, nie szukał literackich przyjaźni, dojsć i układów. „Sted to prymityw” – mówiono. Szybko zaliczono go do miernych, choć wiernych kochanków poezji. „Nie umiał się znaleźć” w towarzystwie, „nie potrafił się zachować”, milczał w czasie dyskusji albo mełł w ustach jakieś obraźliwe słowa lub mruczał pod nosem przekleństwa...

Jego lubelska legenda rodziła się początkowo na gruncie uniwersyteckim. Najpierw – jako pozornie wielce prowincjonalnego prostaczka, co to nagle... potrafił zapędzić w kozi róg asystentów i wykładowców na romanistyce swoją płynną francuszczyzną. Następnie – jako „nieobliczalnego” kontestatora, nieledwie chuligana, pokerzysty i w ogóle „złego ducha”, parającego się tylko dodatkowo poezją. Sted rozwalony na ławce na środku KUL-owskiego dziedzińca, z nogami wyciągniętymi przez całą szerokość alejki, pluł „niechący” pod nogi przechodzącym studentkom, warcząc cicho: „Te k-k-urewskie d-d-robnomieszczanki” (lekko się zacinał). „Lał się” na studenckich zabawach i czupurnie stawał do draki podczas dancin-gów w reprezentacyjnej kawiarni „Lublinianka”. Sted szydził i spoglądał na świat spođe łba. Jeszcze wówczas nie dostrzegano jego innego spojrzenia – z jego mających dopiero się narodzić wierszy, poematów, powieści; nie dostrzegano tej „całej jaskrawości” Steda, tej jego „czułości”, wrażliwości, „falowania na wietrze”...

Najbardziej charakterystyczną, łatwo rzucającą się w oczy cechą Stachury była, już w tamtych studenckich lubelskich latach, jego osobność. Sted nie tylko był inny – zarówno jako członek studenckiej społeczności, szarej masy zaaferowanej mrówczą krzątanią po salach wykładowych i pracowniach, jak i początkujący pisarz, dystansujący się wobec młodych grup poetyckich i ich programów. On po prostu był zwykle sam ze sobą. Najczęściej widywało się go, jak samotnie szedł ulicą na wykłady, jak samotnie z lubością wygrzewał się na słońcu zawsze na tej samej ławce na środku KUL-owskiego dziedzińca, po lewej stronie od głównego wejścia, lub gdy samotnie siedział nad szklanką herbaty w którejś z kawiarni. Obserwowałem go przez długi czas z daleka, jeszcze nie znając osobiście, najczęściej właśnie na korytarzach i na dziedzińcu Katolickiego Uniwersytetu, gdzie ciągle tkwiłem, bo moja dziewczyna studiowała tam historię sztuki.

Inna sprawa, że Stachura był o kilka lat starszy od swoich kolegów z roku. Gdy zaczął studia, miał już lat dwadzieścia, podczas gdy oni liczyli w większości po lat osiemnaście. Przyszli na studia prosto po maturze, po kilku latach „zaliczania” kolejnych klas gimnazjalnych bez większych wstrząsów i burz życiowych. W wypadku Steda było inaczej. „W jedenastej klasie mnie naszło – miał napisać w 1960 r. w poetyckim tekście-wyznaniu *Która jest jak oliwa na wodę*, opublikowanym w „Kamieniu” – [...] Zaczęłam zaniedbywać fizykę. Wszystkie inne przedmioty. [...] Polubiłem teraz samotność. Polubiłem milczenie. Wkrótce uciekłem z domu. Mój ojciec musiał chyba płakać wtedy. Ja też chciałem płakać, kiedy pisałem pożegnalny list, ale uznałem, że to niegodne mnie, mężczyzny. Kolumba, mnie. Później, kiedy niejednokrotnie chciałem płakać, wiedząc, że sprawi mi to ulgę, łzy, jak małe liski pochowane w swych norach, lękały się wyjść, chociaż myśliwy dawno już odszedł, chociaż już dawno odszedłem. [...] Mój pierwszy wiersz mówił o pracy pająka¹. Pamiętam go, jak wszystko to, co napisałem. [...] Myślałem wtedy, że to najpiękniejszy wiersz świata. [...] Pisałem dalej. Najwięcej o księżycu. [...] Co noc, powoli, bardzo powoli [...] niezmiernie powoli rodziły się słowa i przekonanie, że to całe pisanie nie jest chyba tak proste, jak zarzynanie wołu, śpiewanie kantyleny czy reperacja buta. [...] Nad jednym słowem wypalałem dziesięć papierosów, obgryzałem dziesięć paznokci. Im więcej pisałem, tym więcej się mozoliłem, bardziej cierpiełem [...]”.

¹ W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie zachował się rękopis tego wiersza. Przypisy do tekstu Mirosława Dereckiego opracował Dariusz Pachocki.

Nie wiem, dlaczego Stachura postanowił wybrać na miejsce studiów właśnie Lublin. Przecież mieszkał z rodzicami w Aleksandrowie Kujawskim, do gimnazjum chodził w Ciechocinku, a maturę zrobił ostatecznie (po jakich to perypetiach, po jakich ucieczkach z domu i ze szkoły, po jakich okresach podróży-włóczęg po całej Polsce!) w liceum ogólnokształcącym w Gdyni. Co miał wspólnego z kolegami ze swojego roku, z tych zapyzia-
łych miast i miasteczek Lubelszczyzny, wówczas jeszcze deskami zabitej, on, który urodził się w „słodkiej Francji”, dokąd jego rodzice wyruszyli kiedyś w poszukiwaniu pracy i chleba, a Polskę zobaczył po raz pierwszy na własne oczy, będąc już jedenastoletnim chłopcem?

Może, po nieudanym starcie do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie², Sted zainteresował się Lublinem z uwagi na fakt, że jakoby w podlubelskich, położonych przy nałęczowskiej szosie, Tomaszowicach mieszkała wówczas jego siostra, której mąż był dyrektorem miejscowego PGR-u? Skądinąd w czasie studiów na KUL-u Stachura nigdy ani słowem nie wspominał o Tomaszowicach³.

*

Sted szokował swoich kolegów ze studiów na każdym kroku. Podczas egzaminu wstępnego na romanistykę Nell Słomkowska-Strzałkowska, która w gronie kilkudziesięciu innych kandydatów mozoliła się nad pisemnym tematem egzaminacyjnym, zauważyła w pewnej chwili, że jeden z chłop-
ców, blondyn o kędzierzawych włosach, siedzi z założonymi rękami nad

² „Opinia Rady Pedagogicznej gdyńskiego LO o Edwardzie Stachurze jako kandydacie do studiów na wydziale malarstwa sztalugowego Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku-Sopocie: «Ogólnie dostatecznie przygotowany do studiów. Zdolny, ale pracuje niesystematycznie. Podczas pobytu w naszej szkole przejawiał pewne zdolności artystyczne. Wystawiał rysunki na wystawie szkolnej, pisuje wiersze. Na uroczystościach szkolnych występował w częściach wokalnych. W osiąganiu lepszych wyników w nauce przeszkadzała mu wada w wymowie. W pracach społecznych szkoły brał aktywny udział. Światopogląd materialistyczny nieskrystalizowany». Zob.: M. Buchowski, *Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1993, s. 28. Stachura wspominał o tej sprawie w liście z 8 lipca 1956 r. do Mieczysława Czychowskiego: „Wyobraź sobie, że nie dopuszczono mnie do egzaminów ze względu na słabe prace domowe. Widocznie mieli rację. Pociesza mnie tylko fakt, że oprócz mnie nie dopuszczono kilkudziesięciu innych. Rok zmarnowany. Postaram się jednak zużytkować go jak najlepiej. Będę dużo pisał i malował”.

³ Siostra Edwarda Stachury – Eliana – wraz z mężem i córką zamieszkała w Tomaszowicach ok. roku 1961. Jej mąż Włodzimierz Goliński był tam dyrektorem POM-u. Informacja na podstawie listu Moniki Stachury do Dariusza Pachockiego z 27 października 2008 r.

pusztą kartką papieru, jakby egzamin jego nie dotyczył. W pewnym momencie podszedł do niego obecny na sali asystent, mgr Alfons Pilorz, człowiek, który był w tamtych latach postrachem studentów romanistyki, a jeszcze większym – kandydatów na studia – i groźnym głosem zapytał: „Dlaczego pan nic nie pisze?” „Ponieważ nie mam pióra” – odparł Sted najczystsza francuszczyzną, głosem, w którym czaiło się wyzwanie. A potem dorzucił jeszcze kilka następnych zdań. Pilorz najpierw zaniemówił z oburzenia, a potem... machinalnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył Stachurze swoje własne wieczne pióro... To był początek uczelnianej legendy Steda⁴...

*

W Lublinie debiutował Edward Stachura w kwietniu 1958 r. na łamach świątecznego, wielkanocnego wydania „Sztandaru Ludu” (z 5-7 kwietnia) wierszem bez tytułu [*Smutno w morskim królestwie smutno...*]:

*Smutno w morskim królestwie smutno
Neptun popełnił samobójstwo
Ale to jeszcze nic
Powiesił się do góry nogami
tak, że korona wypłynęła na powierzchnię
i porwali ją piraci z szabelkami na uszach,
Piraci żądają wielkiego okupu
domagają się od mężczyzn-ryb ich żon
Smutno więc bardzo rybkom...*

⁴ Egzamin odbył się 2 lipca 1958 r. Stachura wybrał temat: „Moja ulubiona książka”. W archiwum KUL zachowało się wypracowanie pisarza. Historię, którą przytacza autor wspomnień potwierdza pewien fakt: tekst wypracowania pisany jest zielonym atramentem. Dokładnie takim, jak opinia, którą na końcu umieścił oceniający (Alfons Pilorz): „Duże czytanie; poprawny styl i bogate słownictwo, tekst mówiony byłby niemal bez zarzutu. Rażące błędy ortograficzne (dostateczny)”. Profesor Alfons Pilorz zapytany o tamte wydarzenia stwierdził: „Nie pamiętam, szczerze mówiąc. Ktoś mi to opowiadał. Jest to możliwe, długo używałem zielonego atramentu[...]. Był to student – z jednej strony – zdolny, już czytany, mający dosyć szeroką kulturę literacką. Z drugiej strony strasznie beztroski, nieprzewidujący, nie liczący się z realiami życia. To, co uderzało – miał jedną idee fix – zostać pisarzem, no i to zrealizował [...]. Był po szkole podstawowej francuskiej, więc miał te same trudności, co dzieci i młodzież francuska, tzn. z pisownią”. Fragmenty rozmowy Dariusza Pachockiego z Alfonsem Pilorzem z 14 listopada 2008 r.

*Tylko delfin kupiec zaciera skrzela -
Sklepiak, gdzie można kupić łzy -
prosperuje świetnie -
Rybki płacą i płaczą -*

W następnych miesiącach w redagowanym wówczas przez Zygmunta Mikulskiego dodatku tygodniowym „Sztandaru Ludu” – „Kultura i Życie” miało się ukazać osiem dalszych wierszy Stachury: [*Nachylcie plecy wasze...*] (27 IV), *Kochankowie* i [*Wybuchają na mostkach twoje oczy...*] (25 V), *Lato w Alpach* i *Skandynawia* (29 VI), [*Zapach wosku...*] i [*Na bransoletach u metysek...*] (13 VII) oraz zadedykowana *Oldze*, zamieszczona w numerze 31 „Kultury i Życia” (z 17 VIII) *Kompozycja*:

*Należałem kiedyś
do ogrodów wysokich -
z wejściem etruskim -
i smukłym -*

*Kobiety tam były leniwe
jak rzeki -
a w palcach miały miękkość -
perskich dywanów*

*Do wodopoju szło się prosto -
albo na grzbietach lwic -
a niedosyt znało tylko źródło
i naczynia u katechumenów -
Owoce i niebo -
dojrzewały nisko -
że nie trzeba było stawać na palcach -
żeby je dosięgnąć -*

*Nocą -
grałem w domino z gwiazdami -
o zachowanie czystości -
lub o młodego lisa -*

*Niekiedy przegrywałem
wspaniałomyślnie**

„Kultura i Życie” zamieściła także (w numerze 21 z 8 czerwca) akwarelę Edwarda Stachury przedstawiającą niewielki domek z drzewami w tle.

Dopiero 9 listopada 1958 r. ukazała się w Lublinie następna publikacja Stachury. „Kultura i Życie” wydrukowała jego krótkie opowiadanie *Piękna przygoda*:

„Siedzę w poczekalni dworcowej oparty łokciem o stolik. Przed chwilą przyjechałem do tego nieznanego mi miasta. Jest dokładnie czwarta godzina nad ranem. Muszę poczekać tutaj do świtu. Potem wyruszę na poszukiwanie kobiety, którą spotkałem tego lata na jeziorach...”

Nie były to jeszcze ani wiersze, ani proza zbyt wysokich lotów. Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas wtedy, po ich lekturze, wyróżniał nazwisko Stachury wśród innych młodych lubelskich autorów, którzy szturmowali te dwie kolumny dziennika zawiadywane przez popularnego „Mistrza” (Mikulskiego). Powtarzały się najczęściej nazwiska Wojciecha Zajdlera (studenta medycyny, który później skończył szkołę aktorską w Warszawie, a ostatecznie poświęcił się reżyserii teatralnej), Ryszarda Pawłaka (ten był chyba ulubieńcem „Mistrza”, bo drukował w „Kulturze i Życiu” wiersz za wierszem), pojawiły się pierwsze wiersze Zbigniewa Falkowskiego. Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński drukowali najczęściej już w bardziej prestiżowej, literackiej „Kamenie”.

Przez kilka następnych miesięcy Sted niczego więcej w „Kulturze i Życiu” nie zamieścił. Dopiero w „Kamenie” w numerze 6 z 31 marca 1959 r. znalazły się jego dwa wiersze: *Dolina obiecania* oraz:

*Niebo to jednak studnia
a więc tyle cembrowin
ile smutku i gwiazd*

*Lecz najsmutniej jest wtedy -
kiedy skalpel księżycy -
otwiera obłok
jak brzuch delfina -*

* Układ wersów za „Kultura i Życie”, 17 VIII 1958, nr 31, s. 2. [red.]

Kilka miesięcy wcześniej, pod koniec 1958 r., zadebiutował na łamach „Kameny” jako poeta Zbigniew Strzałkowski, starszy o dobrych kilka lat od Steda student II roku historii sztuki, a skądinąd jego współlokator z pokoju nr 16 w Domu Studenckim KUL przy ulicy Sławińskiego⁵.

Owa słynna „szesnastka”, mieszcząca się na pierwszym piętrze starej przedwojennej kamienicy, zaadaptowanej na męski akademik, była tak zwanym kołchozem, dużą salą, w której na żelaznych piętrowych, przykrytych burymi, szorstkimi kocami łózkach gnieździło się kilkunastu potencjalnych magistrów, doktorów humanistyki, poetów, pisarzy, plastyków i... co kto woli. W tejże „szesnastce” zamieszkał w rok później Ireneusz J. Kamiński, szkolny kolega Stachury jeszcze z Ciechocinka, którego notabene Sted namówił na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Spali na jednym łóżkowym tandemie – Sted na górze, Irek na dole.

Na tle innych studentów Stachura wyróżniał się szczególną dbałością o swój wygląd i wręcz kultem czystości.

„[...] Mimo kiepskiego zarostu – wspominał wiele lat później Kamiński na łamach „Kameny” z 8 lutego 1987 r. – [...] golił się dokładnie, potem kroił twarz niezłą wodą kolońską, namaszczał kremem i oglądał, przeglądał się w lustrze niczym panna na wydaniu. Sprawdzał stan swojego ciała, bicepsów w szczególności, a już najwięcej bodaj uwagi poświęcał fryzurze. Owszem, włosy miał ładne, przypominające loki posągów hellenistycznych, ale niezbyt mocne, rzędzące w partiach czołowych, co bardzo go martwiło. Nieco później [...] wyzna zresztą w *Jednym dniu*: «Jak ja bym mógł kochać siebie zgarbionego, лыsego, o mięśniach jak nici lub masło, nie mógłbym niczego przeskoczyć, chodzić po drzewach bym nie mógł, pływać zupełnie, tańczyć wcale i śpiewać, żadne wędrowanie najulubieńsze, to jak ja bym siebie kochać potrafił, takiego kraba?»

W 1959 roku bronił się jednak przed zarzutem narcyzmu, wyjaśniając sprawę zwyczajniej – poczuciem estetyki”.

*

Akademik przy ul. Sławińskiego wydawał mi się zawsze nieprzytulny, ciemny i ponury. Przy nim nasze UMCS-owskie i WSR-owskie bloki w miasteczku akademickim przy ul. Langiewicza – z trzema (tylko!) spiętrzonymi łózkami w widnych, choć przeszywanych lodowatym wichrem,

⁵ Obecnie ul. Niecała.

ciągnącym od wzgórz, na których budowała się Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa, pokojach – wydawały się prawdziwym, socjalistycznym rajem. Na Sławińskiego nocami wyły ponuro karetki znajdującego się po drugiej stronie ulicy Pogotowia Ratunkowego, na Sławińskiego nie uświadczyno się widoku kobiecego ciała: w pakamerach rezydowali mężczy (z uwagi na obyczajność) „sprzątacze” oraz „pracze”...

Przez ten dom przewinęli się: Zbyszek Domarańczyk, przyszły krytyk filmowy Boguś Zagroba, poeta i artysta plastyk Zbyszek Strzałkowski, Stachura, Ireneusz J. Kamiński, a później także literat Janusz Olczak i piosenkarz Kazio Grześkowiak. Nawet – poeta Tadeusz Kwiatkowski-Cugow. Ale tylko „na waleta”, jako że polonistykę studiował na UMCS-ie, zaś na Sławińskiego zgłosił się u Grześkowiaka „z polecenia” Steda, który wówczas już studiował na Uniwersytecie Warszawskim.

Mieszkał tu również początkujący poeta Andrzej Babiński⁶, „[...] z którym kiedyś – miał po latach wspomnieć Stachura we *Wszystko jest poezja* – dawno (za górami za lasami) nie przespaliśmy wiele dziesiątków nocy, pisząc wiersze, latem w łazience, zimą w izdebce kuchenek gazowych, w kulowskim akademiku na ulicy Sławińskiego w Lublinie”.

Otóż między innymi także w KUL-owskiej „szesnastce”, przy dźwięku gitary, na której zwykł grywać Stachura (gitara była nie jego), przy jednej i drugiej butelce jabłkowej berbeluchy, patykiem pisanej w Milejowie, zaczęły się jesienią 1958 r. toczyć dyskusje na temat zorganizowania wielkiego spotkania-mityngu i zarazem wieczoru autorskiego młodych lubelskich twórców – poetów i prozaików, mającego ożywić i odświeżyć zgnuśniałą atmosferę Lublina.

⁶ Andrzej Babiński (1938-1984) – studiował teologię świecką i psychologię na KUL. Babiński już w czasie studiów, w związku ze swoimi publicznymi wystąpieniami, znalazł się w obszarze zainteresowań Służby Bezpieczeństwa. W IPN oddział w Lublinie zachowała się informacja operacyjna odnosząca się do jednego z publicznych wystąpień Andrzeja Babińskiego: „W dniu 14 XII 1958 r. [...] miało miejsce antypaństwowe wystąpienie studenta KUL B. Andrzeja, który ostro zaatakował czasy „stalinowskie” w Polsce, organizację ZMP, ZMS, socjalistyczny system wychowania, wspominał o wypadkach poznańskich [...]. Wystąpienie swoje wymieniony zakończył zapewnieniem, że on i inni, gdy przyjdzie odpowiedni czas, to zacisną pięści i będą walczyć o Polskę”. Sygn. IPN 08/267 (oddział Lublin).





Rynek Starego Miasta, widok w kierunku ul. Złotej, lata 50. XX w.
Fot. Edward Hartwig.

2

Spotkanie autorskie odbyło się ostatecznie w jednej z sal Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Za stołem „prezydialnym” siedzieli m.in. poeci: Henryk Pająk i Zbigniew Strzałkowski, na widowni znalazła się cała masa poetyckiej młodzieży ze Zbigniewem Zaborskim, Edwardem Stachurą oraz Andrzejem Tchórzewskim na czele; był chyba także Jerzy Klechta, późniejszy redaktor naczelny „Radaru”. Cały ów mityng odbywał się pod opiekuńczym okiem przyjaciela artystycznej młodzieży studenckiej, nieżyjącego już dzisiaj dr. Konstantego Turowskiego, prawnika z wykształcenia, pracującego w administracji uniwersyteckiej.

Niestety, piękne i szczytne założenia wieczoru spaliły na panewce. Zamiast „sycić się” wzajemnie poezją, poszczególni młodzi poeci zarzucali sobie nawzajem plagiaty, a Tchórzewski wołał wielkim głosem, żeby niektórzy, zamiast pisać wiersze, poszli lepiej na wieś sadzić buraki cukrowe!

W następnych miesiącach na uniwersytecie wydarzyła się historia, która dodatkowo rozżarzyła „złą legendę” Stachury. Otóż pewnej nocy Sted ograł w pokera do ostatniej nitki niejakiego Rysia X, zwanego powszechnie „Filozofem”. A ten, całkiem nie po męsku, poszedł ze skargą do prorektora Zdzisława Papierkowskiego, prosząc, aby spowodował on zwrot przegranych pieniędzy oraz zegarka. Reakcja Papierkowskiego była natychmiastowa: „Jeśli pan był taki głupi, żeby grać w karty, i jeszcze z takim, który potrafi lepiej od pana, to ma pan tylko jedno wyjście: zmądrzeć przed następnym razem!” I tak profesor sprawę zamknął...

*

Wydarzeniem nie tyle artystycznej miary, ile skandalizującej natury, był pierwszy w Lublinie wieczór autorski Edwarda Stachury.

Zorganizowano go chyba w ramach działalności kulturalnej Zrzeszenia Studentów Polskich i – jako swoiste „echo” jesiennego poetyckiego spotkania na KUL-u – odbył się on na początku 1959 r. w studenckiej kawiarni „Piwnica” na Starym Mieście. Sted był wtedy jeszcze przed swoim poetyckim debiutem na łamach „Kameny”.

W śródownym numerze „Sztandaru Ludu” (z 18 lutego 1959 r.) ukazała się na ostatniej stronie dobrze wyeksponowana, ujęta w ramkę notatka:

„Wieczór autorski Edwarda Stachury. Dnia 18 II 1959 r. o godz. 18.00 w lokalu klubu-kawiarni «Piwnica» na Starym Mieście odbędzie się wieczór autorski Edwarda Stachury. Młody poeta odczyta nie drukowane wiersze oraz fragmenty prozy poetyckiej. Klub zaprasza wszystkich chętnych do wzięcia udziału w wyżej wymienionym wieczorze”.

Podaję, że był to w ogóle pierwszy w życiu oficjalny wieczór autor-
ski Steda. Niestety, wypadł on zupełnie inaczej, niż zapewne wyobrażali go
sobie – autor, organizatorzy oraz publiczność...

Stachura jako poeta był wówczas w środowisku lubelskim właściwie
zupełnie niezany. Jego publikacje w „Sztandarze Ludu” z ubiegłego roku
stanowiły tyle, co nic. Mało kto więc pokwapił się na imprezę, na którą
trzeba było maszerować przez cały skuty mrozem i zawałony śniegiem
Lublin. Na dodatek organizatorzy „przedobrzyli” sprawę. Przewidując nie-
wielką frekwencję, sprowadzili jakąś wycieczkę kombatanów wojennych
czy też starszych wiekiem nauczycieli, zwiedzających Stare Miasto.

Kto zna pierwsze utwory Stachury oraz jego wyjątkową drażliwość na
punkcie własnej poezji i własnej osoby, może sobie wyobrazić, jak ów wie-
czór wyglądał... Dopóki jeszcze Stachura czytał swoje wiersze, wszystko
szło gładko. Burza wybuchła dopiero wtedy, gdy zaczęła się – przewi-
dziana „porządkiem dziennym” – dyskusja. Dość powiedzieć, że wywody
dyskutantów, przyzwyczajonych dotąd głównie do odbioru utworów Marii
Konopnickiej czy Teofila Lenartowicza, były druzgocące. Sted – do żywego
dotknięty – przebił obecnych argumentem, iż jeśli w ogóle zniżył się on,
Poeta, do poziomu obecnego na sali audytorium, to tylko ze względu na
honorarium, które jest mu niezbędne dla zapłacenia za obiad i butelkę wina,
i że dyskutować dalej nie ma zamiaru! O reszcie – lepiej nie wspominać.

Do końca akademickiego roku 1958/59 Stachura chyba już niczego więcej
na łamach lubelskiej prasy nie wydrukował.

*

Zbliżała się letnia sesja egzaminacyjna. Miała ona dla Stachury finał bole-
sny. Oblał historię literatury francuskiej. Groziło mu ponowne „zawalenie”
pierwszego roku.

Pierwszego roku studiów nie można było repetować. Nic wprawdzie nie
stało niby na przeszkodzie, aby jeszcze raz starać się o przyjęcie na pierw-
szy rok romanistyki, ale w taki właśnie sposób Stachura postąpił już rok
wcześniej. (W roku akademickim 1958/59 studiował ponownie na pierw-

szym roku). Wtedy to, w 1958 r., Zbyszek Domarańczyk zaśmiewał się do rozpuku: „Ty wiesz, jaki Sted numer wykreślił? Złożył jeszcze raz papiery, poszedł na egzamin, no i musieli go przyjąć. A co mieli zrobić, jak posiał ze znajomości języka wszystkich kandydatów, a pewnie by zagiął i niejednego wykładowcę!”

Przy ponownym składaniu papierów na studia w 1958 r., musiał Stachura załączyć także, jak tego wymagał przepis, „własnoręcznie napisany życiorys”. Brzmiał on następująco:

„Urodziłem się 18 VIII 1937 r. w Pont-de Chéruey (dep. Isere) we Francji. Dzieciństwo miałem spokojne i piękne. Mając jeszcze 7 lat, śniło mi się, że posiadam zdolność lotu. W tym czasie zacząłem uczęszczać do francuskiej szkoły elementarnej i sny zaczęły się zmieniać jak nowe obrazy w fotoplastikonie. Drugą wojnę światową pamiętam tylko ze smaku czekolady, którą obdarowywali nas Amerykanie. Pamiętam jeszcze pająka na suficie naszej piwnicy, w której musieliśmy się ukrywać przez dwa tygodnie. Kiedy miałem 11 lat rodzice doszli do wniosku, że należy opuścić słodką Francję i powrócić do jeszcze słodszej Polski. Nie rozumiałem jeszcze wtedy słowa: nostalgia. Teraz dopiero rozumiem, ileż smutku się w nim zawiera. Z opowiadań i książek słyszałem dużo o wilkach grasujących w Polsce. W listopadzie 1948 r. przyjechaliśmy do Polski. Nie widziałem nigdzie wilków, ale nie mogłem się spodziewać, że tak małe będzie moje rozczarowanie. Osiedliliśmy się w ponurym miasteczku w Aleksandrowie Kuj. Było to kiedyś graniczne miasteczko i słynęło szeroko z przemytu. Tutaj skończyłem szkołę podstawową. Ponieważ wykazywałem wysokie zdolności oddano mnie do «gimnazjum» w Ciechocinku, żeby zrobić ze mnie «inżyniera» lub «doktora». Po trzech latach przeniosłem się do liceum ogólnokształcącego w Gdyni, które ukończyłem i gdzie do tej pory otoczony jestem legendą jak wyczytałem w tamtejszej szkolnej gazetce. Jeden rok tzn. 1956 włączyłem się po Polsce napotykając wszędzie ślady wilków, a nigdy ich samych. Potem zacząłem studiować filologię francuską na K.U.Lu, gdzie doskonała dobroć kilku osób wzruszyła mnie do głębi. Studia przerwałem przede wszystkim z własnej winy, a może z winy wierności tradycjom moich wielkich «ancêtres»”.

Ten życiorys, nie – to piękne opowiadanie Steda, jest dla mnie jakby wstępem do tego wszystkiego, co miało się wydarzyć w nadchodzącym okresie, kiedy to Edward Stachura zaskoczył wszystkich blaskiem i siłą swojej poezji.

(Co się zaś tyczy egzaminu z historii literatury francuskiej, to Sted zdał „poprawkowy” po wakacjach i został studentem drugiego roku).

*

W powakacyjnym, podwójnym 19/20 numerze „Kameny” z 1-31 października 1959 r. ukazały się dwa wiersze Edwarda Stachury: *Pejzaż* oraz utwór bez tytułu – [*Oczy nim dosięgły...*]. Ale dopiero w następnym, 21 numerze z 15 listopada, pojawiła się jego proza poetycka – *Błogosławiona bądź, łaźnio!* Było to piękne, krótkie opowiadanie, od czasu którego zaczęto w lubelskim środowisku spoglądać na Steda innymi oczami:

„Tak, jak dworzec był moim nocnym, zimowym hotelem, tak łaźnia przygarniała mnie dniem. Kiedy się nie ma tego, co wy, łaźnia jest instytucją nad wyraz gościnną. A jeśli jeszcze jest zima i zimno, i wiatr, i śnieg, i mróz, i zimno bardzo, to trzeba błogosławić łaźnię i czynię to w tej chwili. Błogosławiona bądź, łaźnio – hotelu przyjazny. Myłaś mnie a kąpałaś, a grzałaś. Odnajdywałem u ciebie ciało moje i cieszyłem się nim, bo to jest złota żyła – swoje ciało. Błogosławiona bądź, wieżo z kości słoniowej, błogosławiona dolino obiecana, po brudnych ławkach dworcowych każdego poranku obiecana. Ty znasz mnie dobrze, o pani dobra i pełna czułości”.

Nie wiem, dlaczego Sted nie włączył później „łaźni” do żadnego ze swoich zbiorów opowiadań, dlaczego nie zauważyłem jej w pośmiertnym, pięciotomowym wydaniu jego utworów. Przecież ta krótka proza mówi o ówczesnym Stedzie prawie wszystko: o jego wędrowce nieustannej, o bolesnej samotności, na którą sam się skazał, o potrzebie ludzkiego uczucia, o jego swoistym mistycyzmie, wreszcie o tym narcyzmie, tak charakterystycznym dla Stachury-poety i dla Stachury-człowieka.

*

Część minionych wakacji spędził Sted na obozie lingwistycznym, zorganizowanym przez Katolicki Uniwersytet Lubelski dla studentów romanistyki na podmiejskiej Poczekajce. Wchłonięta dzisiaj przez rozbudowujący się Lublin, położona w dzielnicy Węglin przy szosie kraśnickiej, była w owych latach Poczekajka cudownym, wiejskim azylem, pełnym zieleni, kwiatów, śpiewu ptaków. Na dawnej resztówce ziemskiej, należącej kiedyś do rodziny Andrzeja Struga, na skraju cienistego parku, w którym stał stary, drewniany dwór, wzniesiono dwa domy akademickie dla studentek KUL-u. Tymi

domami oraz gospodarstwem rolnym zawiadywały szare urszulanki. (Nieco bliżej Lublina wznosił się niewielki klasztor kapucynów z kościółkiem). Na Poczekajkę dojeżdżało się kursującym z rzadka, rozklekotanym autobusem miejskim linii „5”, ale najpewniej było przejść tych kilka kilometrów dzielących poczekajski „akademik” od uniwersytetu na własnych nogach. Podczas roku akademickiego odległe położenie Poczekajki stawało się dla studentek koszmarem. Ale w lecie było tam wspaniale! Nic więc dziwnego, że Stachura, rozstając się po obozie z kolegami i z Poczekają, wzruszył się do łez! Inna sprawa, że mogło to być zarazem dla Stachury (gdyby nie zdał jesienią „poprawkowego”), także pożegnanie z „rokiem”; jego koleżanki i koledzy mieli od października kontynuować studia na trzecim semestrze, a on, „Villon”, bo takie imię przybrał na obozie, gdy prowadzący zajęcia l’abbé Prévost zaproponował, aby każdy z uczestników przybrał sobie jakiś „francuski” pseudonim, stał oto przed wielką niewiadomą...

Sted wzruszał się łatwo. Ale nie było w tym cienia pozy. Jego kodeks honorowy – wiecznego wędrowca, księcia poezji, a może także jej błędnego rycerza – zakładał lojalność wobec przyjaciół, uczciwość wobec ludzi, prawdomówność, szczerość. Młodzi lubelscy pozerzy spod znaku Euterpe przełazili nocami przez mur cmentarza przy ul. Lipowej i nad grobem Józefa Czechowicza recytowali własne wiersze, rozповідаjąc następnie o tym szeroko i długo; Sted także poszedł kiedyś nocą na cmentarz i na ten grób. I spał na mogile poety „bombą rażonego w stallach”. Ale nie przyznał się nikomu. I dopiero po latach zwierzył się z tego na kartach *Wszystko jest poezja*.

*

Do ówczesnego obrazu Edwarda Stachury trzeba dorzucić jeszcze kilka innych szczegółów.

Po pierwsze fakt, że nigdy nie widziano go z dziewczyną; nie słyszano, aby z którąś umawiał się na randkę, by z kimś „chodził”. Nawet żadnej nie prosił do tańca na zabawach studenckich czy na dancingach w kawiarniach. Najchętniej siedział gdzieś z boku, przy stoliku, popijając wino. Jakby kobiety dla niego nie istniały. Jakby nic nie istniało poza pisaniem. Kiedy w 1961 r. ukazały się w „Twórczości” pełne żaru i tęsknoty *Listy do Olgi*, były one dla wielu znających Steda prawdziwym zaskoczeniem.

Po drugie: śpiewanie. Bardzo chętnie brał do ręki gitarę; przy niezbyt wówczas wprawnym akompaniamencie śpiewał w gronie kolegów w aka-

demiku piosenki francuskie, często te z repertuaru Georges Brassensa. A także takie, do których już chyba wtedy sam pisał słowa i komponował melodię. Ale to nie były jeszcze te piosenki, które wiele lat później miały tak bardzo rozślawić wśród młodzieży imię Stachury – śpiewane przez niego samego w radiu warszawskim, a potem, po jego śmierci – przez wielu innych, lepszych nawet wykonawców.

Sted brał na strunach akord, odrzucał głowę do tyłu, przymykał oczy... Głos miał mało wyrobiony, ostrawy, momentami zawodzący. Widać było, że śpiewanie daje mu ogromną satysfakcję, ale... W tym śpiewaniu bardziej sprawiał wrażenie rozochoczonego zabawą i winem villonowskiego rybałta niż trubadura. Dopiero później to wszystko zmieniło się, nabrało miękkości i głębi, stało się stylem zupełnie samym w sobie, przekształciło się w to śpiewanie Stachury, które tak bardzo pociągało słuchaczy.

Po trzecie wreszcie: szachy i poker...

*

Ilekoć wspomnę klub „Pod Strzechą” przy Krakowskim Przedmieściu 32, ówczesny klub „Nora”, i pomyślę o Stedzie, zawsze widzę go siedzącego przy stoliku na samym końcu głównej wielkiej sali, po prawej stronie, pod oknem na prawo od sceny, pochylonego nad szachownicą. I – w towarzystwie Zygmunta Mikulskiego.

Z „Mistrzem” łączyła Steda miłość do Poezji, ale także – do szachów. Owej „gry królewskiej”, jak zwykł podkreślać. Tkwili godzinami w milczeniu zatopieni w grze, nie zważając zupełnie na to, co się dzieje wokół. A w „Norze” zazwyczaj działo się dużo i głośno, szczególnie podczas wieczorków tanecznych.

Z „Mistrzem”, który w szachowej materii posiadał szczególną wiedzę i umiejętności, Sted grywał na zasadzie: „sztuka dla sztuki”. Bo na co dzień z innymi zwykł grywać głównie „na forszę”. Po sto złotych od partii. Co zresztą, pod koniec lat pięćdziesiątych, było sumą całkiem niemałą. Pieniądze wygrane w szachy pozwalały mu przeżyć z dnia na dzień. Szczególnie – jeśli się nie miało żadnej pomocy materialnej z domu, a stypendium na KUL-u sprowadzało się do „akademika” i wyżywienia – bardzo wówczas, notabene, podłego – w studenckiej stołówce. Wśród wielu szachistów, którym Sted proponował grę o stułotową stawkę, trafił kiedyś na lepszego od siebie. Był to student polonistyki UMCS, także poeta, a przy

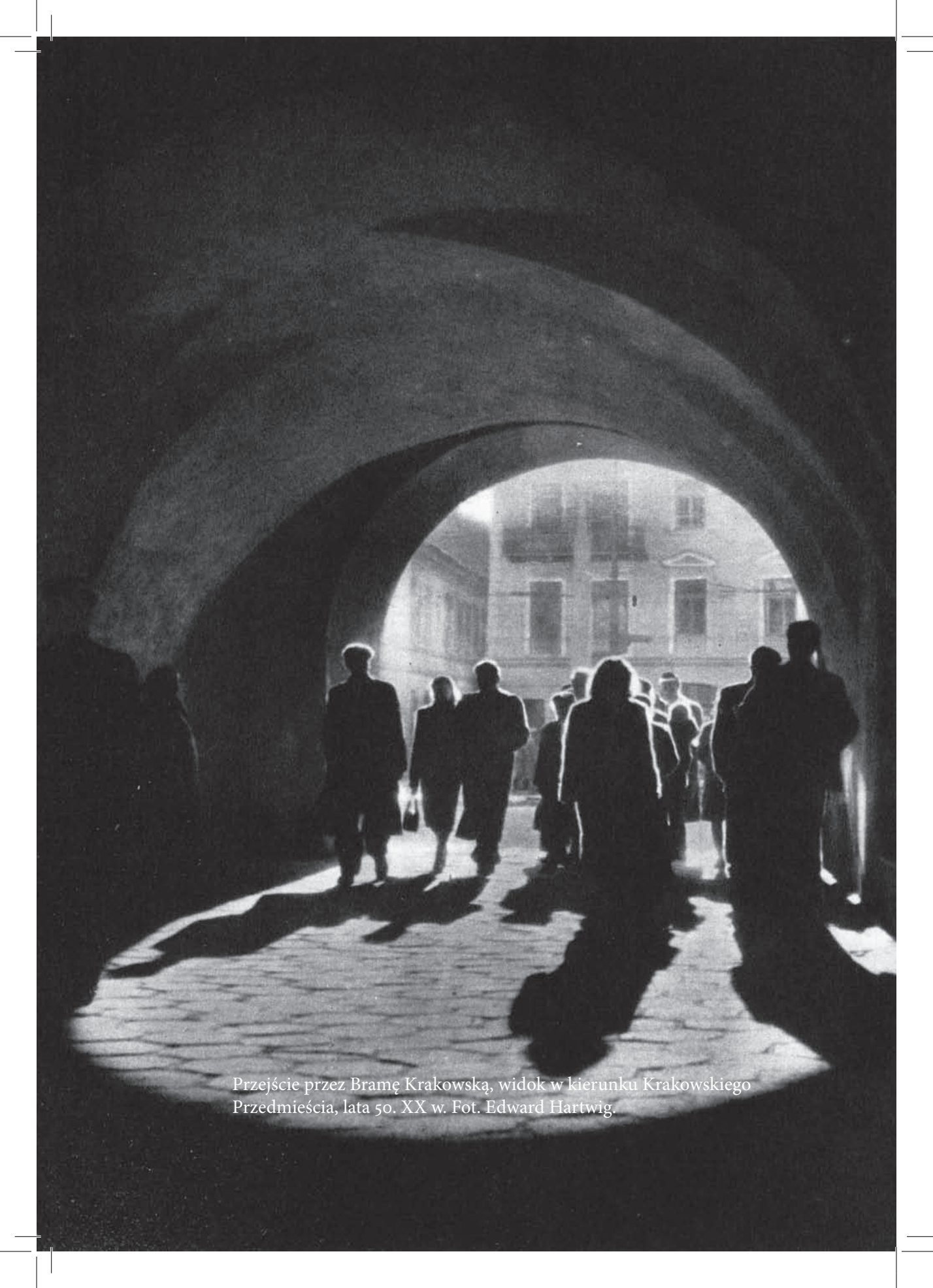
tym doskonały szachista – Henryk Pająk. Od tej przegranej Sted nie rozegrał z Pajakiem nigdy więcej żadnej partii.

Drugim źródłem zarobków, ale także namiętnością Steda, grą „wciągającą” –jak kiedyś napisał – w odróżnieniu od „gry królewskiej”, był poker.

Gra w pokera, środowisko jego amatorów, ale także i zawodowców, świat rozrzuconych po kraju nielegalnych „kasyn” czy lubelskich melin, gdzie toczyły się rozgrywki, stanowiły tę stronę życia Stachury, z którą się nie afiszował i o której nigdy nie mówił. Także prawie o niej nie wspominał w swojej twórczości. Tam byli zupełnie inni ludzie, inne pieniądze do wygrania lub przegrania, inne obyczaje, tam było inne życie. Zbyszek Domarańczyk opowiadał mi, że Sted potrafił pojawić się jednego dnia na uczelni z kilkunastoma tysiącami złotych i pięcioma zegarkami w kieszeni (były to na ówczesne studenckie wyobrażenia i możliwości sumy wręcz zawrotne), a następnego dnia, po kolejnej pokerowej nocy, pożyczał od kolegów na papierosy. Sam pamiętam moment, gdy Stachura – przyjechawszy już w późniejszych, „warszawskich” latach, do Lublina – telefonował z redakcji „Kameny” pod jakiś miejscowy numer, gdzie „szła” gra, mówiąc szyfrem na temat ewentualnego własnego uczestnictwa i przedstawiając „rekomendacje” kogoś z Warszawy, kto był znany odbiorcy telefonu.

Opowiadano w studencko-artystycznym lubelskim świątku, że Sted nie tylko świetnie gra (którą to umiejętność nabył podczas licznych wojaży po kraju), ale potrafi, gdy zajdzie potrzeba, równie dobrze „pomagać sobie” w kartach...

Moja osobista znajomość ze Stedem zaczęła się chyba właśnie w klubie „Nora” przy kieliszku wina lub wódki, którą zresztą Stachura wcale, ale to wcale nie gardził. Wkrótce potem miałem go poznać także przy pokerowym stoliku, chociaż ja sam w karty nigdy nie grałem...



Przejście przez Bramę Krakowską, widok w kierunku Krakowskiego
Przedmieścia, lata 50. XX w. Fot. Edward Hartwig.

3

Był chyba koniec września 1959 r. Miałem kłopoty z mieszkaniem, bo studenckie domy przy ul. Langiewicza zamknięto na głucho przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego; do rodzinnego miasta wyjeżdżać mi się z Lublina, gdzie już od półtora roku współpracowałem z „Kameną”, nie chciało. Jedyną ostoją dla osób w podobnej, jak moja, sytuacji był wtedy Dom Wycieczkowy PTTK, mieszczący się w zabytkowym pałacyku przy placu Litewskim, gdzie ma teraz swoją siedzibę Lubelskie Towarzystwo Naukowe. Można tam było się przespać za kilkanaście złotych na ogólnej sali, we względny spokoju.

W „Peteteku” panowała swoista, familijna atmosfera. Mieszkała tam zawsze – poza masowymi, przelatującymi jak meteory, szkolnymi lub chłopskimi wycieczkami – pewna grupa „rezydentów”, ludzi, którzy byli w Lublinie na dłuższych „delegacjach”, studentów przygotowujących się do wstępnych lub do poprawkowych egzaminów, gdy akademiki były w remoncie; takich, których żona lub mąż wyrzucili z domu, lub takich, którzy domu w ogóle nie mieli. Do tych ostatnich należał pewien starszy księgowy na emeryturze oraz potwornie gruba, stara kobieta, uciekinierka ze szpitala psychiatrycznego, gdzie – jak twierdziła – umieściła ją rodzina, łasa na jej majątek. Utrzymywała się z wróżenia (z dłoni i z kart) uczestnikom zbiorowych wycieczek. Pamiętam też panią w średnim wieku z synkiem, wyglądającą na prowincjonalną nauczycielkę. Nie wiem, gdzie pracowała, ale „dorabiała” prostytutką na salach ogólnych, operując głównie wśród młodych przybyszów ze wsi. Takse miała przystępną, więc i popyt był duży.

Wieczorami, gdy uczestnicy wycieczek, zmęczeni bieżączką po zabytkach, ułożyli się do snu, „rezydenci” zbierali się w górnym hallu pałacyku (na pierwszym piętrze nad schodami) przy stolikach na towarzyską pogawędkę. Telewizja była dopiero w powijakach, nikt nie słyszał o odbiorniku telewizyjnym w hotelu, więc życie towarzyskie naprawdę kwitło.

*

W takim właśnie entourage'u pewnego późnego wrześniowego wieczoru natknąłem się na Steda. Akurat wrócił z jakiejś „rajzy” po Polsce; był w podobnej sytuacji, co ja, to znaczy bez pieniędzy i mieszkania.

Gwarzyliśmy sobie przy stoliku o tym i owym, a najmniej o pisaniu, gdy przysiadł się do nas chłopak, który koniecznie chciał zagrać w karty. „Ja grywam tylko na pieniądze – powiedział rzeczowo Sted. – W pokera” – dodał, żeby już zupełnie nie było wątpliwości. To chłopaka wcale nie speszyło. Forse miał, bo przyjechał do Lublina na kilka dni zdawać egzaminy poprawkowe, a w dodatku ojciec, niebiedny rolnik, dał mu jeszcze tysiąc trzysta złotych na kupno jesionki...

Nigdy nie miałem pojęcia o kartach, a zwłaszcza o grze w pokera, ale już w momencie, kiedy Stachura zaczął tasować i rozdawać zrozumiałem, że mam przed sobą nie byle kogo! Karty po prostu furczały mu w rękach.

W ciągu dosłownie kilku chwil Sted stał się zupełnie innym człowiekiem: gdzieś zniknęła jego miękkość, „zamyślenie”, jego „łagodność”. Patrzyłem ze zdumieniem, jak po paru rozdaniach, gdy już zostały podwyższone stawki i gdy jego partner wygrał parę złotych (może nie był to przypadek, może miał je wygrać na „zachętę”?), Stedowi z minuty na minutę tężała twarz, a jego błękitne, marzycielskie oczy robiły się stalowoszare, zimne. „S-syp, s-syp, syp forse na stół!” – powtarzał bezwzględny głosem, kiedy przegrywający teraz raz za razem przeciwnik wahał się z wyciągnięciem z kieszeni kolejnych banknotów...

Nigdy już więcej Steda takiego nie widziałem.

Okolo trzeciej nad ranem było po wszystkim. Sted, chowając do kieszeni dzinsowej bluzy spory zwitek banknotów, odłączył z niego czerwoną stowę i honorowo wręczył ją studentowi, żeby chłopak miał przynajmniej za co wrócić pierwszym „pekaesem” do domu. Potem wstał, zbiegł szybko po schodach na dół i wyszedł przed budynek, a ja z nim.

Była głęboka, czarna noc, blado świeciły we mgle uliczne latarnie. Z restauracji „Europa” wyrzucano ostatnich pijaków. Na rogu naprzeciw „Europy” wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Tam w jasno oświetlonej restauracji zjedliśmy po kotlecie schabowym z ziemniakami i kapustą oraz wypiliśmy po gorącej herbacie z cytryną. Sted płacił za wszystko – z wygranej. Potem znowu wsiedliśmy do taksówki, pojechaliśmy z powrotem do „Peteteku” i poszliśmy spać.

*

Minęło kilka tygodni i z pozoru wszystko wyglądało „po staremu”. Sted rozpoczął studia na drugim roku romanistyki; mieszkał znowu w przepełnionej „szesnastce” w domu akademickim przy ulicy Sławińskiego, wydrukował

w „Kamenie” te dwa wiersze, o których wspomniałem poprzednio, a później: *Błogosławiona bądź, łaźnio!* Ale jeszcze wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jaka ogromna zmiana zaszła w ciągu ostatnich miesięcy w twórczości Stachury, jakiego on nabrał – jako poeta – „przyspieszenia”, ile wierszy napisał, i w jakim natchnieniu, w jakim zapamiętaniu się pracował... W 1959 r. i na początku 1960 powstał przecież, poza innymi utworami, prawie cały poemat *Dużo ognia*⁷. Powstała, wśród innych wierszy Steda, *Róża*:

*W ogrodzie nocą chochoł to król -
a narzeczona jego magiczna -
o łaskę króla ją pielęgnować*

*a mnie to już nikt dawno tak bardzo -
dawno tak bardzo już nikt -
nie pielęgnował -*

*czy ja jestem blacha albo tygrys -
że mnie to już nikt dawno tak bardzo -
nie pielęgnował -*

*albo to ja mam sklep korzenny sklepik
żebym się sam niedziela po niedzieli
pod ladą pielęgnował*

*w ogrodzie nocą chochoł to król -
a narzeczona jego magiczna -
to może tak jutro magicznie*

o łaskę króla mnie pielęgnować

Podaję ten utwór w takim brzmieniu, w jakim został wydrukowany w zbiorze *Dużo ognia*, wydanym przez „Iskry” w 1963 r., po – jak się należy domyślać – korekcie naniesionej przez Stachurę. Bo *Róża*, którą zamieścił

⁷ Ostatecznie ukazał się w Warszawie (Iskry) w 1963 r.

w 1 numerze „Kameny” z 15 stycznia 1960 r., miała troszkę inaczej brzmiące ostatnie dwa wersy⁸.

W tymże numerze „Kameny” ukazała się duża proza poetycka Stachury: *Która jest jak oliwa na wodę*. Proza – wyznanie poety...

„[...] Najgorzej było z pierwszym zdaniem, z pierwszym obrazem. [...] Ale kiedy znalazłem słowo, kiedy coś mi wyszło, to niepomierne była moja radość. A kiedy już napisałem wiersz, kiedy go ukończyłem, co to było! Jeśli nie było nikogo w pokoju i jeśli w pokoju było lustro, podchodziłem do niego i powtarzałem wiersz głośno, kilkakrotnie i radowałem się, choć niewyraźnie mówię i zatrzymuję się w środku zdania, jak gdybym cieszył się ostatnim słowem, które przed chwilą wymówiłem niewyraźnie. Skakałem, śpiewałem, przewracałem krzesła, kopałem je, cieszyłem się. Jeśli w pokoju nie byłem sam i ktoś inny spał, kładłem się cicho i gryzłem poduszkę. Cieszyłem się. Zapalałem papierosa i powtarzałem cicho:

*jak to jest że tak mało pokory ta chwila łania
kiedy ręce na nią odpuszczam a więcej obdarzam*

*bo oto prawie trzymam swoją nieobecność
że omdlewają mi kwiaty w ogrodzie i łaźni*

*więc pozdrowiona bądź ostatnia poro imienin
twój popiół biały w dzbany skrzętnie już po nas*

i wdowy swój obłęd na gitarach zawodzić zawodzić⁹

A na szybach już świt czynił przezroczystość i widoczność gałęzi za oknem, i kamienic między gałęziami, i nieba między kamienicami. A tu najbliżej czyniła się agonia żarówki, która żyła ze mną przez całą noc, była moim nocnym słońcem, a teraz ustępowała miejsca świtowi, umierała, więc gasiłem ją, gdyż szlachetnie jest przerywać agonię dobrej rzeczy lub pięknego i wiernego zwierzęcia, i ja też umierałem nad ranem i prosiłem sen, by przerwał moją agonię, ale sen nie był szlachetny i długo jeszcze

⁸ Wersja z „Kameny” jest uboższa o cztery wersy, a kończy się słowami: „to może tak jutro magicznie nowina / o łaskę króla że mnie pielęgnować”.

⁹ Fragment wiersza Edwarda Stachury pt. *Pola Elizejskie*. Pierwodruk: „Odgłosy” 1960, nr 20, s. 8. -

umierałem z wierszem na wargach, jak z ostatnią relikwią, opatrzony najświętszym sakramentem własnej miłości [...]”.

Połowa stycznia, pierwszy numer „Kameny” z 1960 r., Lublin skutki mrozem, w akademiku na Sławińskiego stężała duchota, na ulicy – para bucha z ust, grabieżą dłonie; za dwa tygodnie – w klubie „Nora” pierwszy „wielki” wieczór autorski Edwarda Stachury i – pierwszy wielki sukces.

*

W ostatnim tygodniu stycznia 1960 r. Sted zwrócił się do mnie z prośbą, abym czytał jego wiersze na wieczorze autorskim, który ma się odbyć już wkrótce, 2 lutego. Sam nie chce ich czytać. „Wiesz, jak jest z moją wymową – powiedział. – A ty jesteś obyty ze sceną”.

Istotnie, od lat siedziałem w teatralnym ruchu studenckim, potem – półzawodowym; grywałem epizodyczne role na scenie Teatru im. Osterwy, wreszcie – pracowałem jakiś czas jako pełnoprawny aktor w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora. I teraz jeszcze, mimo współpracy z „Kameną”, żyłem dorywczo ze scenicznej chałtury... Ale żeby wybór Steda padł akurat na mnie? Do dzisiaj nie wiem, czy Sted wyczuł we mnie najwłaściwszego lektora – odtwórcę jego poezji, czy też poza mną nie miał się do kogo zwrócić? Tak czy inaczej, poczułem się w pełni – jakby się dzisiaj powiedziało – „dowartościowany”. No i wyraziłem zgodę.

Wieczór szykował się jako bardzo prestiżowy. Miał się odbyć w klubie stowarzyszeń twórczych przy Krakowskim Przedmieściu 32, noszącym właśnie od niedawna nową nazwę – „Nora”. Organizowany był w ramach zainicjowanych ostatnio przez kierownictwo klubu do spółki z Lubelskim Oddziałem ZLP – „wtorków literackich”. I właściwie także przez redakcję „Kameny”, jako że pismo było wówczas organem tutejszego oddziału Związku Literatów Polskich. Takiego wyróżnienia nie dostąpił jeszcze dotąd żaden z młodych lubelskich poetów.

*

Wieczór autorski Edwarda Stachury miał być trzecim z kolei „wtorkiem literackim”¹⁰. Dwa pierwsze odbyły się w styczniu, wzbudzając duże zainte-

¹⁰ Obszerna relacja z tego spotkania znajduje się w artykule Tadeusza Klaka: *Stachura i „przeklęte miasto”*, „Akcent” 2006, nr 2, s. 60-68.

resowanie w środowisku kulturalnym. Podczas inauguracyjnego wieczoru Ireneusz Opacki mówił o poezji Juliusza Słowackiego. Następny „wtorek” poświęcony był pamięci zmarłego niedawno tragicznie Alberta Camusa; słowo wstępne wygłosiła Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz, fragmenty utworów pisarza czytał Adam Tomanek. A teraz – wieczór autorski Stachury!

Myślę, że swój wieczór autorski zawdzięczał Sted przede wszystkim Annie Tatarkiewiczowej, związanej wówczas silnie z „Kameną” (była jakby zastępcą redaktora naczelnego, Marii Bechczyc-Rudnickiej). Pani Anna nie tylko znała się na literaturze, ale również potrafiła poznać się na ludziach, którzy literaturę szturmowali. A także chyba – Stefanowi Zarębskiemu, poecie, tłumaczowi Goethego i Schillera, przedstawicielowi średniego pokolenia lubelskich pisarzy, który w „Kamienie” pracował jako tzw. sekretarz techniczny. Pewnie właśnie ostatnie utwory przynoszone przez Steda do redakcji – te, które wydrukowano w 1 numerze „Kamieni” ze stycznia 1960 r. – *Róża i Która jest jak oliwa na wodę* (przedtem: *Błogosławiona bądź, łąznio!*) i jeszcze inne, spoczywające na razie w teczkach redakcyjnych, zadecydowały o zaprezentowaniu jego twórczości na pierwszym lutowym „wtorku literackim”.

Sted wręczył mi spory plik kartek; wiersze były przepisane na maszynie, czysto, wyraźnie, z ogromną dbałością o przejrzystość i układ graficzny tekstu. Umówiliśmy się na poniedziałek rano, za kilka dni, w kawiarni „Lublinianka” na roboczą próbę. Do tej pory miałem sobie wiersze „naczyć” w domu.

*

Kiedy pojawiłem się w poniedziałek 1 lutego w pustej jeszcze zupełnie „Lubliniance”, Sted już czekał. Siedział na samym końcu dolnej sali, przy okrągłym stoliku, w rogu po lewej stronie, przy oknie. Był zziębnięty, zmęczony, jakby – niewyspany. Okazało się, że ostatnią noc spędził „na Cichej”, w areszcie pobliskiego komisariatu milicji, gdzie trafił po wdaniu się w jakąś awanturę. Ale kiedy wypił – od razu jedna za drugą – dwie herbaty (mógł ciągle pić herbatę), szybko zaczął stawać na nogi.

Pamiętam dobrze, że z miejsca w sposób bezlitosny skrytykował moją interpretację i sposób czytania. Wszystko miało być nie tak. Zupełnie, albo prawie zupełnie, inaczej. Miał drobiazgowo przemyślaną każdą intonację, każdą pauzę, każde zawieszenie głosu, napięcie jego brzmienia w poszczególnych wierszach. Żądał, aby zwracać przede wszystkim uwagę

na wewnętrzny rytm utworu, na jego „falowanie”, na melodię w nim zawartą. To miało być raczej coś w rodzaju wyśpiewania poezji... Może nie tak akurat się wyraził: „wyśpiewanie”. Ale o to chyba właśnie szło. Zresztą tylko częściowo mi wyjaśniał i tłumaczył, o co mu chodzi. Przede wszystkim – sam mówił każdy swój wiersz, chcąc, abym go po prostu naśladował... Oczywiście, gdybym się w te wiersze nie wczuł tak jak on chciał, nie przeżył ich wspólnie ze Stedem, nie dostroił się do jego wrażliwości, rezultat byłby żaden.

Był nieprzejednany i niestrudzony w cyzelowaniu najdrobniejszego, najmniej zdawałoby się znaczącego szczegółu. „Katował” mnie przez długi czas, wiersz za wierszem. Najpierw w dolnej sali „Lublinianki”, a potem – na dancingowym pięterku, gdzie przenieśliśmy się, gdy parter kawiarni zaczął zapęłniać się gośćmi.

Na „górcę” panował spokój; o tej porze nie bywał tam jeszcze nikt. Czytałem strofę za strofą, a Stachura w skupieniu, przymknąwszy oczy, towarzyszył szeptem, prawie bezgłośnie – jakby się modlił... W pewnym momencie posłyszałem, że coś głośno mówi.

„Co takiego?” – podniosłem głowę znad kartki.

„To godne Homera! To Homer, to Homer...!” – powtarzał Sted z upojeniem.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, jak się zachować, co powiedzieć. Był śmieszny, ale i jakoś... wzniosły zarazem w tej swojej egzaltacji, w tym bezgranicznym zachwyceniu...



Brama Krakowska, widok z Placu Łokietka, lata 50. XX w.
Fot. Edward Hartwig.

4

We wtorkowym numerze „Sztandaru Ludu” z 2 lutego 1960 r. na ostatniej stronie wydrukowano tłustą czcionką:

„Wieczór autorski E. Stachury”. A niżej informację: „Dziś, w ramach kolejnego wtorku literackiego, odbędzie się wieczór autorski młodego poety lubelskiego – Edwarda Stachury.

Edward Stachura drukował swoje wiersze w «Kamieniu», «Kulturze i Życiu», «Nowej Kulturze», «Współczesności», «Odnowie» i «Nowej Wsi». W roku ubiegłym zdobył II miejsce w ogólnopolskim «Turnieju jednego wiersza» podczas festiwalu młodych poetów w Poznaniu.

Wieczór odbędzie się jak zwykle w klubie «Nora» – Krakowskie Przedmieście 32. Początek o godzinie 19”.

Nawet nie wiedziałem, że Sted miał już za sobą druk w takich pismach, jak „Nowa Kultura” i „Współczesność”! Wcale się tym nie afiszował.

*

Tego dnia – a także kilku poprzednich i następnych – było bardzo zimno, mróz na całość. W Krakowie temperatura spadła do minus 34°C, pękały szyny. W województwie koszalińskim silne wiatry nawiały zasy na szosach, tworzyły się zatory na drogach i szlakach kolejowych. Koło Kłodzka śnieg zablokował kursowanie pociągów. W Górach Świętokrzyskich pękały w lasach jodły. Na Lubelszczyźnie było podobnie...

I oto, ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu, mimo mrozu i śniegu sala klubu „Nora” przed godziną 19 była wypełniona po brzegi. Przeważała artystyczna młodzież, ale znalazło się także wiele starszych osób – literaci, pracownicy kultury, dziennikarze. Kierownik klubu, Jerzy Kierski, biegał od stolika do stolika, zapalając świece tkwiące we flakonikach, z których porzucano zeschnięte kwiatki. Wieczór miał się odbywać w odpowiednim nastroju. Na środku tanecznego parkietu ustawił stolik dla prowadzącego i dla czytającego wiersze...

Dyskusję miał bodajże prowadzić Stefan Zarębski.

Dławiła mnie trema. Sted – nasączony dokładnie od kilku godzin, dla dodania sobie kurażu, winem – siedział w jednym z głębokich foteli pod ścianą, po prawej stronie sali, i udawał, że zachowuje zimną krew.

Co ja wtedy czytałem¹¹?

Zacząłem chyba (według kolejności dokładnie ustalonej przez Stachurę) od *Róży*. A potem musiała być pewnie *Noc*:

*Ty się pochyl róža-bóg -
ty się do mnie pochyl -
[...] -*

Następnie – wiersz bez tytułu, trzema tylko gwiazdkami oznaczony:

*Ja tobie poselstwa wysyłać pęki pokłonów
ale widzę lepiej sam pójdę
bo to wszystko puch jest pył
więc lepiej sam pójdę widzę
[...]*

I później już zaczęły się *Pieśni* z poematu *Dużo ognia*:

*Nie byłem stróżem ognia w moim domu
rozrastały mnie domy nie moje i progi
i w liściach miałem hotele to moje*

*Latorośl byłem żadna bo nieuchwytna
[...]*

A dalej szła *Pieśń: Pływanie*, którą do tej pory tak lubię:

*Pamiętam dawniej wędrować po fajans
po kukurydzę i inne klejnoty*

¹¹ Zachował się maszynopis – w posiadaniu Tadeusza Kłaka – z zestawem wierszy Edwarda Stachury, które były recytowane podczas spotkania. W przywoływanym już artykule Tadeusz Kłak pisze: „Maszynopis ten zawierał 14 utworów [...]. Oto zawartość tego zestawu: *Wyjście błękitną bramą*, (późniejszy tytuł: *Pieśń: Odkupienie*), *Pojedynek*, *Uniewinnienie*, *Pola Elizejskie*, *Dużo ognia*, *Morze Martwe*, *Trzynaście linijek*, *Łóżko*, *Odpływanie*, *Rozwód*, *** (*My to nie wiem, co chcemy*), *Pływanie*, *Fatum*, oraz *Świętowanie*”. T. Kłak, dz. cyt., s. 61.

*na wielkich barkach i biodrach wędrować
do Fajans
Handel pamiętam wyborne dochody
dla obu stron rzeki jasnej
i czystej jak mój handel*

*Sól była tania a najmiłsza muzyka
do obiadu kiedy soli dużo -
bo to jest piękna przyprawa -
[...] -*

Następnie czytałem – *Pieśń: Odpływanie* i *Pieśń: Łaźnia* oraz *Pieśń: Świętokradztwo*. *Pieśń: Dużo ognia* i *Pieśń: Odkupienie*:

*Ode mnie już nawet
najdalsze siostry powietrzne ulatują dalej
choć oddalone o niebo wielkie to niebo
i tylko jego brzegi nas stykają i chmury
wędrujące od brzegu do brzegu te chmury
ale czy to może być źle
[...]*

Nie wiem, nie pamiętam już zupełnie, jakim wierszem zakończyłem, natomiast jeszcze dzisiaj mam w uszach tę wrzawę, która podniosła się po daniu znaku do dyskusji...

Sala podzieliła się na dwa zwalczające się z furją obozy: zwolenników i przeciwników poezji Stachury. W tej drugiej grupie przeważali młodzi koledzy Steda po piórze.

Przesiadłem się na jakieś boczne miejsce, tuż przy grubym, czworobocznym, podtrzymującym sufit sali, filarze. Dyskusja stawiała się coraz bardziej zajadła. Niektórzy młodzi poeci w zaciętrzewieniu odmawiali wręcz autorowi prawa do pisania... W pewnym momencie Zbyszek Domarańczyk, który siedział obok, trącił mnie w ramię i powiedział z absolutnym zachwytem w głosie: „Ty popatrz tylko na Steda; ty wiesz, co za chwilę może tutaj się zacząć dziać?!...”. Spojrzałem w stronę rzędu foteli pod ścianą. Stachura siedział błądy, w dłoni ścisnął pustą butelkę po winie...

Ale nic się nie „zaczęło dziać”, bo oto nagle doszedł wreszcie do głosu siedzący w pierwszych rzędach krzeseł po drugiej stronie filara starszy od

nas o kilka lat krytyk i historyk literatury, Tadeusz Kłak (wkrótce potem zaczął redagować w „Kamieniu” kolumnę literacką: *W stronę młodych*). Ku ogromnemu zaskoczeniu przeciwników Steda, którzy mieli Kłaka za swego, on nagle wystąpił z płomienną obroną, co więcej – gorącą pochwałą poezji Stachury!

Niestety, nie pamiętam już, jak się dalej, po wypowiedzi Kłaka, potoczyła dyskusja w „Norze”. Jakże mógłbym wówczas przypuszczać, że po latach będę wracał do tego wtorku literackiego...

*

Wieczór autorski Steda był naprawdę wielkim wydarzeniem w ówczesnym kulturalnym życiu Lublina. Zygmunt Mikulski pisał trzy dni później na łamach „Sztandaru Ludu” (z 5 lutego 1960 r.):

„POEZJA – CHLEB POWSZEDNI

Wieczór autorski młodego poety lubelskiego E. Stachury [...] nasunął zbyt wiele refleksji i spostrzeżeń, by można je było zachować tylko dla siebie. Był przede wszystkim jedną wielką niespodzianką. Pierwszą niespodziankę sprawiła publiczność. Na sali był komplet (rzecz, która się zdarza niezmiernie rzadko) młodych miłośników poezji.

Drugim ważnym problemem była jakość prezentowanej poezji i poziom jej podania (wiersze czytał M. Derecki). Jesteśmy, jak się zdaje, świadkami narodzin talentu dużej miary, który ma wszelkie szanse wyjścia poza lubelskie opłotki. E. Stachura ma już poza sobą pierwsze doświadczenia startu poetyckiego. Drukował swe utwory w «Kulturze i Życiu», «Kamieniu», «Współczesności», «Nowej Kulturze» itd., jest laureatem poetyckiego konkursu literackiego i zdecydowanie wybija się spośród szarego nieco tła młodej poezji miejscowej.

Ostatnią wreszcie niespodzianką, niespodzianką zaskakującą, była temperatura dyskusji i jej dynamika. Wystąpienia i ostre starcia między poszczególnymi dyskutantami przepojone były taką żarliwością, dowodziły takiego zaangażowania osobistego w sprawę poezji, że niezmiernie trudno (dziś jeszcze) oprzeć się wzruszeniu i specyficznemu wstrząsowi. Młodzież na wtorkowym wieczorze okazała swe prawdziwe oblicze, oblicze ludzi, dla których sztuka nie jest ani rozrywką, ani zjawiskiem przebrzmiałym. Jest na pewno swoistą koniecznością życiową. Obok tego zjawiska trudno przejść obojętnie lub pominąć je milczeniem, tym bardziej, iż w codziennej

praktyce nie żałujemy w stosunku do młodzieży barw czarnych i głosów na wskroś pesymistycznych [...]

Przytoczyłem treść artykułu prawie w całości, bo oddaje on w sposób plastyczny i wierny nastrój tego, co się wówczas działo w klubie „Nora”. Zresztą, kto z dzisiejszych wielbicieli twórczości Edwarda Stachury będzie miał możliwość dotarcia do tych starych, zakurzonych roczników codziennej lubelskiej gazety?

Może więc warto przytoczyć także fragment zamieszczonego (w kilka miesięcy później) na łamach „Kameny” *Do Edwarda Stachury listu prywatnego* pióra Tadeusza Kłaka (nr 15–16, z 15–31 sierpnia 1960 r.), który nawiązywał do tamtego gorącego lutowego „wtorku literackiego”:

„[...] Do dziś pamiętam te wzruszenia, jakie obce są lekturze większości bieżącej produkcji poetyckiej, bo tak to trzeba nazwać. Zadziwiła mnie delikatność i czułość niemal tych wierszy. I tęsknota, tak zresztą daleka od sentymentalizmu i łatwego wzruszenia. Przeżyciem była dla mnie *Róża*, którą czytałem później wiele razy.

[...] Przyznam się: byłem bezsilny wobec tej poezji, nie potrafiłem sformułować, co tu jest nowego, choć to nowe było dla mnie oczywiste. Wyczuwałem jej melodię, ale nie potrafiłem określić, co się na to składa. Dziś dla mnie sprawa jest już jaśniejsza. [...] Należy Pan do ludzi, którzy czują się dobrze tylko w krainie poezji.

[...] Ktoś może mi zarzucić, że tak wynoszę poezję dopiero poczynając się. Czynię to z całą odpowiedzialnością i z przekonaniem, że na taką poezję można stawiać. Napisałem zapewne mało o jej minusach, «ale czy to może być złe?» Daruje mi Pan ten cytat, lepszego nie widzę. Proszę przyjąć najlepsze życzenia [...]

Nigdy już, od tamtego wieczoru, nie czytałem przed publicznością ani nie mówiłem wierszy Stachury.

*

Po sukcesie, jakim był wieczór autorski Steda w klubie „Nora”, łamy miejscowej prasy stały przed nim otworem. Stachura związał się jednak naprawdę tylko z „Kameną”.

Z Zygmuntem Mikulskim łączyły wprowadzie Steda więzy wzajemnej sympatii, a nawet chyba przyjaźni, ale w redagowanym przez „Mistrza” dodatku „Sztandaru Ludu” – „Kultura i Życie” nie pojawił się przez szereg

miesiący ani jeden jego wiersz. Dlaczego tak się działo, nie wiem. Może Stachura wyczuwał, że „Mistrz” aż tak bardzo, jakby tego życzył sobie Sted, nie ceni jego poezji?

Pracował dużo. Owocem tej pracy było m.in. piękne, duże opowiadanie – *Jasny pobyt nadrzeczny*, które zostało wyróżnione na konkursie zorganizowanym przez redakcję „Nowej Kultury” i Wydawnictwo „Książka i Wiedza”.

*

Z początkiem wiosny 1960 r. Sted zaczął mieć kłopoty z mieszkaniem. Pokerowe noce, na które przychodzili do wspólnego pokoju w akademiku przy ul. Sławińskiego zbyt liczni entuzjaści tej gry (także spoza środowiska studenckiego), budziły coraz ostrzejsze protesty współmieszkańców „szesnastki”, którzy chcieli mieć spokój. I ostatecznie skończyło się to, zdaje się, wymówieniem Stachurze miejsca w domu akademickim.

Przez jakiś czas udzielał mu dorywczo gościny Lubelski Oddział ZLP w swym lokalu przy ul. Granicznej 7¹². W jednym z dwóch wielkich pokoi na parterze willi, należącej kiedyś do znanego bibliofila, historyka i pisarza, księdza Ludwika Zalewskiego, stała ukryta za szafą twarda i niewygodna kozetka, na której nocowano czasem przyjezdnych literatów, jeśli zabrakło dla nich miejsca w hotelu. Rano trzeba się było szybko zrywać z pościeli, bo przychodziła sekretarka oddziału, Olga Gajewska, i rozpoczynała urzędowanie.

Po prawdzie to Sted swoje tam mieszkanie zawdzięczał głównie dobroci i życzliwości Olgi, która niejedną raz przymykała – jak sądzę – oczy na jego zbyt już przedłużające się pobyty. I także była nader wyrozumiała, jeśli chodzi o egzekwowanie należności za noclegi. A poza tym Olga, zabiegana między pracą w Związku a prowadzeniem własnego domu i wychowywaniem trojga dorastających dzieci, wspierała Steda w sposób najbardziej mu chyba potrzebny: swoją wiarą w jego pisanie, niezachwianym przekonaniem, że czeka go wielka przyszłość. „Panie Edwardzie, ja wiem, że pan się wybije!” – powtarzała. Nic dziwnego, że swoją pierwszą książkę, tomik opowiadań *Jeden dzień* – tak doskonale przyjęty przez krytykę – Sted podarował Oldze

¹² Edward Stachura zaadresował jeden z listów do Mirosława Dereckiego (z 18.12.1964) na adres redakcji „Kameny” i ZLP: ul. Graniczna 1c, zaś trzy pozostałe (z 29.12.1964, 11.02.1965 i 24.02.1965) na adres: ul. Graniczna 7. Nowy adres związany był ze zmianami zabudowy ul. Granicznej w tym okresie. Kolejnym adresem ZLP była ul. Graniczna 9.

z dedykacją: „Drogiej i Szanownej Pani Oldze Gajewskiej za dobre serce i wiarę w Stachurę – Edward Stachura”. Pisał do niej kartki z licznych swoich podróży, przysyłał kolejne książki i przyjaźń ta przetrwała długie lata.

*

Snując plany przeniesienia się od nowego 1960/1961 roku akademickiego na Uniwersytet Warszawski, nie myślał Stachura o osłabieniu więzi z „Kameną”. Przeciwnie: wyjeżdżając na wakacje jak zwykle „gdzieś w Polskę”, wystąpił do kierownictwa redakcji z propozycją pisania listów poetyckich spoza Lublina. I już w lipcowym, 13-14 numerze, „Kameny” (13-31 VII 1960 r.), ukazał się pierwszy taki list, zatytułowany po prostu: *Drogi Przyjacielu!*...

„Za oknem jest czerwiec i niebo błękitne [...]. Jakie to jest piękne miasto, Wrocław, drogi mój! We Wrocławiu jesteś w Europie wielkomiejskiej. Ale znaleźć możesz takie [...] ciche miejsca przy kanałach wieczorem, że bardzo ci brak towarzysza – słuchacza wdzięcznego. I ja to wczoraj wieczorem bardzo wyraźnie odczułem, kiedy przechadzałem stopy swoje i zamyślenie wzdłuż kanałów [...]”.

Sted kończył „korespondencję” słowami: „Posyłam Ci więc wiele wesela i list ten weselny chyba, i chciałbym do Ciebie taki list, w którym myśli moje i wrażliwości, i różne w różnych miastach patrzenia, a także umiejętność pisania mojego – nie wiem jakiego, ale nie fałszywego”.

Już w następnym numerze „Kameny”, podwójnym, sierpniowym, znalazł się kolejny list. „Drogi mój – pisał Stachura. – Miejscowość nazywa się Krzyże, a ja cały jestem zachwycony. Jest to wieś, jedna z tych zagubionych między jeziorem Nidzkim, wielkim, wspaniałym, i lasami nie mniej. Ale jezioro jest bez porównania. Pod niebem błękitnym migoce słonecznie i nieprzebranie i ma się wrażenie, że niebo jest niewiele większe od niego [...]”.

Ależ tak...! Ten „list do przyjaciela” to ziarno, z którego miało wykiełkować znane opowiadanie *Jak mi było na Mazurach*: „Miejscowość nazywała się Krzyże, a ja cały byłem zachwycony [...]” – ze zbioru *Jeden dzień*.

Na obydwie listy zdecydował się odpowiedzieć „Mistrz” – Zygmunt Mikulski, zamieszczając w tymże numerze tekst zatytułowany: *Nie mniej drogi!*, podpisując go pseudonimem „Attikus”. W końcowej części rozwiódł się dość sarkastycznie na temat Stedowego pisania:

„[...] Twój język! Twoja niby zachwycająca bezpośrednią tkanką doznania antyskładnia, użyta w tej paradoksalnej postaci dla ocalenia »natury« prze-

żyć, rzekomo wynaturzonych, kiedy przechodzą przez filtr gramatycznych prawideł. Modne. Autor pisze antypowieści, więc u nas trzeba pójść jeszcze dalej i kombinować (za sprawą Gombrowicza), coś w rodzaju antyjęzyka [...]. Czasem aż zdumiewa to rozumienie naszych potrzeb estetycznych ze strony najgłupszej gałęzi czeremchy. Metafora, anafora, elipsa – a to po prostu pachnie. Potrafisz? Najgoręcej życzy ci tego twój – Attikus”.

Wrzesień przyniósł w „Kamień” opowiadanie Stachury *Dwa hotele*, a połowa listopada (nr 21 z 15 XI) jeszcze jeden jego list – zresztą ostatni już – w którym m.in. Sted próbował bronić swoich racji, tak frontalnie zaatakowanych przez Zygmunta Mikulskiego. Ale trzeba przyznać, szło mu to dość niesporo; miał jeszcze zbyt mało zręczności, potrzebnej polemiście, i zbyt mało doświadczenia, aby wytrącić „Mistrzowi” z ręki broń: odpowiednio „wyeksplikować” swoje lub „zaneglegować” – jego argumenty.



Krakowskie Przedmieście, lata 50. XX w. Fot. Edward Hartwig.

5

Rozpoczął się okres warszawski Steda. Od października 1960 r. był studentem filologii romańskiej Uniwersytetu Warszawskiego; mieszkał w domu akademickim przy ul. Kickiego, na Grochowie.

Jeśli chodzi o pisanie, to sukces gonił teraz za sukcesem. Jeszcze podczas wakacji, we wrześniowym, dziewiątym numerze „Twórczości” ukazało się opowiadanie Stachury *Jeden dzień*, w 1961 r. „Twórczość” wydrukowała jego *Listy do Olgi*, „Nowa Kultura” – *Jasny pobyt nadrzeczny* – opowiadanie, które w 1960 r. wyróżniono na konkursie zorganizowanym przez redakcję tego tygodnika oraz wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Stachura dołączył do Orientacji Poetyckiej Hybrydy, działającej przy słynnym studenckim klubie z ulicy Mokotowskiej (skupieni tutaj poeci to: Maciej Z. Bordowicz, Krzysztof Gąsiorowski, Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Leszin-Koperski, Jarosław Markiewicz, Andrzej Zaniewski, Janusz Żernicki); przez dwa lata Stachura będzie redagował dział poetycki w jednodniówce Hybryd – „Widzenia”.

I największy sukces roku 1961 – Nagroda Młodych Miasta Warszawy dla Steda...

*

O swoim życiu w Warszawie, swoich sukcesach i kłopotach tak pisał Stachura w liście do założyciela „Kameny”, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego:

Warszawa 13 II/1961

Drogi, Kochany Panie Kazimierzu,
przepraszam, że nie pisałem tak długo. Przepraszam bardzo. Jestem w Warszawie od jesieni. Przez tyle miesięcy nie ruszałem się nigdzie. Na Mazurach byłem tylko 2 razy, na polowanie mnie zabrali. A tak, to nigdzie. Pan się na pewno bardzo dziwi. Ja też. Ale jest zima, chociaż łagodna bardzo. Będę zimował w Warszawie. Mam spanie załatwione nieprzerwane. W Domu Akademickim prof. Maciej Żurowski załatwił mi łóżko. I studia mi załatwił na Uniwersytecie. Dobry jest dla

mnie niezmiernie. Jestem już zameldowany. Jak załatwię wojsko, to będę Lord, Markiz.

Dziękuję bardzo za 2 notki o mnie w Pana «Notach» w «Kamieniu». Jedna o *Jednym dniu*, druga o *Jasnym pobycie nadrzecznym*¹³. Nie wiem, czy Pan wie, że zdobyłem IV nagrodę w Konkursie Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” – na opowiadanie o Mazurach. 2000 zł. Dobrze i to.

»Twórczość« drukuje mi wiersze w numerze marcowym. Miał iść ten poemat, jak Pan wie: *Dużo ognia*, ale pokazałem nieopatrzenie nowe wiersze i te idą: 20 wierszy w marcu. Zna Pan kilka tych wierszy. Nie wiem, czy Pan pamięta; rozpoczynają się wszystkie tak samo: *Przystępuję do ciebie...*

»Współczesność« – to bandyci. Dałem wiersz jeden rok i jeden miesiąc temu – na ich własną prośbę, bo chcieli zrobić mi kolumnę wierszy ze zdjęciem i kilkoma słowami. Zgubili mi to wszystko. Chciałem wycofać to wszystko, odsyłali mnie od Kajfasza do Judasza i w końcu nikt nie wiedział, gdzie one są, te wiersze i zdjęcie. Skłamałem ich wszystkich i powiedziałem, że podam skargę do Związku [Literatów Polskich – przyp. M. D.]. Jest taka Komisja Interwencyjna. W Związku bardzo mnie lubią, ale powiedzieli, że nie mogą, bo nie jestem członkiem. Nie chcę tym zawracać głowy P. Iwaszkiewiczowi. Gdybym nie znał tych wierszy na pamięć, to bym się musiał powiesić chyba albo im podpalić budę, tym bandytom. Wydrukowali mi teraz jeden wiersz. A wie Pan dlaczego? Obliczyli, że jestem im winien przeszło stówę za telefony dawniejsze do Lublina i dlatego mi wydrukowali, żeby sobie odciągnąć. Czy to tak można robić, drogi Panie Kazimierzu? Ale najważniejsze, że jestem zdrowy, czego i Panu życzę z całego serca. Daj nam Boże zdrowie zawsze. Wybierałem się kilka razy do Lublina, ale zawsze coś mi stanęło na zawadzie. Jak tylko zaliczę sesję teraz, to nie omieszkam. Pośylam Panu cztery wiersze do «Kamienia». Dawno u Was nie drukowałem. Zresztą niewiele ostatnio drukowałem. Prawdę mówiąc:

¹³ Zob.: K. A. Jaworski, *Noty*, „Kamień” 1961, nr 1, s. 12. Rok później Jaworski pisał o *Nocnej jeździe pociągami*. Zob.: K. A. Jaworski, *Noty*, „Kamień” 1962, nr 13, s. 16.

nie chciałem nigdzie drukować. Radio ma mi wziąć wiersze, a może i prozę. Bardzo możliwe.

To już kończę, drogi Panie Kazimierzu, i ściskam rękę, i jeszcze raz przepraszam, że nie pisałem. Gdyby Pan znalazł chwilkę czasu na kilka słów do mnie, to będę wdzięczny: co słysząc w Lublinie? Co słysząc u Pana? Co słysząc w LSW [Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej – przyp. M. D.] z moim poematem?

Oddany – Edward Stachura

Warszawa

Krak. Przedmieście 87/89

ZLP

*

Mimo przeniesienia się do Warszawy Stachura nadal utrzymywał bliskie kontakty z Lublinem, a także z „Kameną”. W połowie 1961 r. zamieścił na jej łamach opowiadanie *Królewicz* (nr 15); w roku 1962 – opowiadanie zatytułowane *Koniec miesiąca marzec* (nr 22).

Zaraz potem wyszedł nakładem „Czytelnika” jego debiutancki tomik opowiadań *Jeden dzień*. Rok następny, 1963, miał przynieść wydany przez „Iskry” tomik poezji *Dużo ognia...*

Zarówno *Jeden dzień*, jak i *Dużo ognia* były pokłosiem „okresu lubelskiego” Edwarda Stachury. Jeśli nawet nie wszystkie zamieszczone w nich utwory zostały napisane wówczas, gdy Sted mieszkał i studiował w Lublinie, to wyniknęły one – tak uważam – z uwarunkowań intelektualnych i kulturalnych, z atmosfery życia uniwersyteckiego i życia kulturalnego miasta i środowiska, w którym Stachura się znalazł, przywędrowawszy do Lublina ze skromnym jeszcze bagażem intelektualnym oraz – jeszcze mniej – doświadczeniem artystycznym. Różnica między pisarstwem Steda z jesieni 1958 r. i jesieni roku 1960 jest kolosalna. Bez owych lat spędzonych w Lublinie nie byłoby u niego tego zdumiewającego twórczego przyspieszenia, gdy Stachura trafił, w 1960 r., na jeszcze bardziej żyzny, jeszcze mocniej stymulujący grunt warszawski...

Lubelskie akcenty bardzo wyraźnie widać w tomiku *Jeden dzień*: pan Zarębski z opowiadania *Jak mi było na Mazurach* to lubelski poeta średniego pokolenia i ówczesny sekretarz techniczny „Kameny” – Stefan Zarębski, który, wyjeżdżając na wakacje do Nałęczowa, użyczył Stedowi

pokoju w swoim lubelskim mieszkaniu. Staszek Rostworowski z opowiadania *Królewicz*, który załatwił Stachurze palto zimowe, to Stanisław Rostworowski, ówczesny działacz Rady Uczelnianej ZSP na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a później – współzałożyciel Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, dziennikarz, wieloletni poseł na Sejm, przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu PRON w Lublinie. „Jeden pan Gralewski” z *Nocnej jazdy w pociągu* to Wacław Gralewski, znany lubelski dziennikarz i literat, przyjaciel Czechowicza, działacz kulturalny, a w czasie, gdy Edward Stachura mieszkał w Lublinie, także kierownik administracji „Kameny”. Wreszcie: pan Turowski, którego nazwisko pada w opowiadaniu *Koniec miesiąca marzec*, był pracownikiem administracji KUL oraz opiekunem tamtejszej studenckiej młodzieży artystycznej.

Już w późniejszych latach lubelskie realia pojawiają się w jednej z piosenek Stachury, zatytułowanej *Bójka w L.* [w Lublinie – przyp. M.D.]:

*W samo południe na nieparyskim bruku -
W lipca leniwy dzień, -
W słońcu słodkim jak sen; -
W samo południe na nieparyskim bruku, -
Co wydarzyło się? -
Oto spotkali się oko w oko -
Na rogu dwu toczących wojnę ulic; -
Z Nadrzecznej jedni wąskiej magistrali, -
Zaś drudzy z ulicy Jezuickie Rury. -
[...] -*

Rury Jezuickie – to nazwa jednej z dawnych przedmiejskich dzielnic Lublina. Dzisiaj straciła już ona swój ówczesny charakter, zbudowano tam nowe osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Przebiega wzdłuż niej ulica Nadbystrzycka. Wąska i długa ulica Nadrzeczna¹⁴ znajduje się w dzielnicy Dziesiąta, w zupełnie innej części miasta. Więc owo „skrzyżowanie” odległej Nadrzecznej z „ulicą” Rury Jezuickie to u Steda swoista *licentia poetica*...

¹⁴ We wszystkich drukowanych wersjach piosenki występuje ul. Nadbrzeźna. Być może Derecki cytuje wersję, która nie była publikowana.

Jak się już rzekło, Stachura, mieszkając w stolicy, nie zapominał o Lublinie. Wpadał tutaj nagle, odwiedzając już to „Mistrza” (Zygmunta Mikulskiego), już to „Kamenę”, czasami wpadał na Bronowicką¹⁵ do K. A. Jaworskiego na pogwarki; pomieszkiwał też u Wojciecha Papieża¹⁶ – studenta historii sztuki na KUL-u, trochę poety, człowieka niekonwencjonalnego, którego jedną z namiętności były skoki narciarskie na prymitywnej sztucznej skoczni przy stadionie „Lublinianki”, gdzie w każdym momencie ryzykowało się skręceniem karku.

Wyjeżdżali razem z Papieżem na Mazury, zaś w Lublinie, w domku na Czechowie, niedaleko strzelnicy, odbywały się, także z udziałem Steda, pamiętne balangi... Dzisiaj Wojtek Papież reperuje samochody. I powiada, że to zajęcie absolutnie nie koliduje z historią sztuki: prawdziwą bowiem sztuką jest „rekonstrukcja” tak zabytkowych obiektów, jakimi są w większości krążące po Polsce automobile!

Popularność Steda, zainteresowanie jego wierszami i opowiadaniem w tamtych latach?

„[...] Chciałbym odnotować drobny fakt, świadczący jednak wymownie o wczesnej popularności młodzieńczych wierszy Stachury – pisał lubelski literat Janusz Olczak w liście do mnie z 30 października 1986 r. – Otóż w latach 1960-61 prowadziłem taki naiwny, można powiedzieć pensjonarski, notatnik. Wśród różnych zapisów odnalazłem wiersz Stachury zanotowany ręką Janusza Żernickiego. Sam Żernicki był chyba wtedy poetą bardziej znanym od Stachury, a jednak w momencie koleżeńskiegos uniesienia, czy

¹⁵ Chodzi o mieszkanie przy ul. Bronowickiej 14/4.

¹⁶ Wojciech Papież studiował na KUL-u historię sztuki. „Stachura przychodził na wieczory literackie i oplatki organizowane na naszym wydziale. Derecki pytał, co to znaczy, że Stachura u mnie pomieszkiwał. Mieszka ktoś, to znaczy ma klucze, płaci i mieszka, ale jeżeli Stachura: spał, jadł, ale nie płacił i nie miał kluczy, to pomieszkiwał [...]. Kiedy do nas przyjeżdżał, rozmawiał z moją mamą po francusku [...]. Stachura urządzał konkursy picia piwa na dworcu kolejowym. Wygrał w pokera, byłem świadkiem tego, choć wielokrotnie odżegnywał się, że nie lubi piwa. Może dlatego właśnie kupował piwo, bo miał pieniądze, ale nie chciał sam pić, stawiał wszystkim przy barku. Najbardziej mi utkwiło w pamięci to, jak siadał na pieńku albo brał koc i na kocu siadał. Potrafił ileś czasu siedzieć i nie odzywać się [...]”. Fragmenty rozmowy Dariusza Pachockiego z Wojciechem Papieżem z 8 listopada 2008 r.

z innej okazji, wpisał mi do notesu wiersz nie swój własny, tylko właśnie Stachury, który to wiersz także Janusz chętnie deklamował, a deklamował zawsze znakomicie. Zresztą Żernicki naprawdę żył poezją, tak jak inni żyją marzeniami czy złudzeniami.

Gdy po kilku latach przyjechałem do Lublina, okazało się, że Stachura jest tu postacią prawdziwie legendarną. Mówili o nim wszyscy, jakby wciąż jeszcze mieszkał w Kozim Grodzie, studiował tu i uczestniczył w zebraniach Koła Młodych [...].

Dodajmy, że z Żernickim znał się Stachura z Ciechocinka; chodzili do tego samego liceum ogólnokształcącego. Potem kontaktowali się w Toruniu, dokąd Sted przyjeżdżał jeszcze przed studiami na KUL-u. Janusz Żernicki uczęszczał już wówczas na Uniwersytet Mikołaja Kopernika, był członkiem i współzałożycielem poetyckiej grupy „Helikon”...

*

Wiosną 1963 r., wkrótce po ukazaniu się tomiku *Dużo ognia*, Sted pisał do KAJ-a:

Warszawa 1 V 1963 r.

Drogi Panie Kazimierzu, -
dziękuję za list i przepraszam, że teraz dopiero odpisuję. Cieszę się, to jasne, że *Jeden dzień* się Panu podobał. Bo chociaż myślę, że wystarczy, że mnie się podoba, to jednak jak się jeszcze podoba paru ludziom, to dużo lepiej, dużo lepiej. *Dużo ognia* już wyszło i wysłę Panu w najbliższych dniach. Zostałem przyjęty do Związku [Literatów] w Warszawie. Ale co jest wielkim szczęściem, to to, że dostałem mieszkanie, pokój z kuchnią z puli Urzędu Rady Ministrów¹⁷. Jeszcze tam nie mieszkamy z żoną, bo jeszcze załatwiamy parę drobnych spraw, ale za trzy, cztery dni już tam będziemy. Na swoim. - Słyszałem, że Pan strasznie się pozał z Bechczyc-Rudnicką. Ona mi o tym opowiadała i Bielski, i Gralewski. Bielski i Gralewski są zdania, że za bardzo się pan uniósł. Ale Pan na pewno sam wiedział najlepiej, jak postąpić. Ja mogę tylko

¹⁷ Chodzi o pokój z kuchnią na warszawskim Grochowie przy ul. Rębkowskiej 1/15.

powiedzieć, że jak czytam «Kamenę» ostatnio, to coś mi tam brak czegoś [Stachura nawiązuje tutaj do sprawy demonstracyjnego odejścia Kazimierza Andrzeja Jaworskiego z funkcji współredaktora „Kameny” na skutek różnicy poglądów na kształt artystyczny pisma pomiędzy nim a Marią Bechczyc-Rudnicką – przyp. M. D.].

Słuchałem parę dni temu audycji o Panu w Radio. Bardzo mi się podobały te dwa pierwsze wiersze: *Apostrofa* i ten drugi jeszcze bardziej. No i jeszcze *List do matki* Jesienina [w przekładzie KAJ-a – przyp. M. D.]. Bardzo mi się ten wiersz podoba, a nie za dużo mi się podoba poetów na świecie.

Ja mam gotowy drugi tomik: *Przystępuję do ciebie*. «Twórczość» będzie teraz mnie drukować, to znaczy w czerwcu chyba. Wiersze. W radio idzie mi opowiadanie 3 maja wieczorem w przerwie koncertu, ale nie wiem, w którym programie, to znaczy zapomniałem, a nie mam tego pisma «Radio i Telewizja». Na razie kończę i ściskam Pana jak najserdeczniej.

Edward Stachura

I jeszcze list do KAJ-a z czerwca 1963 r.:

Warszawa 10 VI/1963

Drogi Panie Kazimierzu,
dziękuję za kartkę, którą dostałem równo miesiąc temu; nie myślałem, że już tyle czasu przeplęnęło. Miałem i będę miał jeszcze do 25 mnóstwo roboty z egzaminami i z tymi całymi studiami, które też nie wiem po co są człowiekowi potrzebne, to znaczy, czy są takie niezbędne. Wcale nie myślę, żeby tak było.

Spotkałem parę dni temu takiego Pana Zdzisława Popowskiego i widziałem jego tomik zadedykowany Panu. Bardzo przyjemny facet, ale niestety, nie za długo mogliśmy rozmawiać. Widziałem też ostatnio Gralewskiego w Związku, gdzie jeszcze czasami zaglądam, ale już rzadko i coraz rzadziej. Wychodzę stamtąd zły i będę musiał sobie powiedzieć, żeby tam nie chodzić. Z Gralewskim nie rozmawiałem, bo siedział z kimś,

a myśmy z żoną zaraz wyszli. Moja żona ma na imię Zyta¹⁸. Widziałem też i rozmawiałem z nim – Pana Rosiaka z LSW [ówczesnego dyrektora Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, późniejszego Wydawnictwa Lubelskiego – przyp. M. D.]. Mówiłem mu, że mam prawie gotowy drugi tomik wierszy i zaproponowałem mi bardzo prędkie wydanie. Zastanowię się nad tym. Na razie nie chcę tak prędko wydawać jedno po drugim. Chcę trochę odczekać. Piszę mało. Piszę prawie nic, taki jestem zakłopsowany [? – wyraz nie w pełni czytelny – przyp. M. D.]. Ale jeszcze coś tam napiszę w życiu. Na razie tyle i ściskam Pana serdecznie. Mój adres: W-wa 26. Rębkowska 1 m. 15.

E. Stachura¹⁹.

*

W 1963 r. ukazało się w „Kamieniu” (nr 21) opowiadanie Steda *W polu*, zaś w numerze 12 z 1964 r. wielkie, zajmujące prawie dwie i pół kolumny, opowiadanie *Pod Annopolem*.

W *Słowniku współczesnych pisarzy polskich* znajdujemy wiadomość, że opowiadanie to otrzymało III nagrodę „na konkursie WRN i Oddziału ZLP w Lublinie oraz Wyd. Lubelskiego i «Kamieny» w 1964 roku”. Wiadomość tę należy uzupełnić uwagą, iż pierwszej ani drugiej nagrody wówczas nie przyznano, a jedynie trzy nagrody trzecie. Otrzymali je: Edward Stachura, Jerzy Ksiński (*Mała kolejowa stacja*) oraz Zbigniew Stepek (*Rówieśnica Manifestu*).

Pracowałem już wówczas od półtora roku na etacie w „Kamieniu” i nasłuchiwałem się wtedy, jakie to problemy miało jury (Konrad Bielski – przewodniczący, Maria Bechczyc-Rudnicka, Edward Nadulski i Roman Rosiak) z wydaniem sprawiedliwego werdyktu.

Otóż opowiadanie Steda (Godło: „Łubin”) było bez najmniejszej wątpliwości utworem najlepszym, bijącym o kilka długości pozostałe. Sęk w tym, że nie za bardzo odpowiadało „na temat”. Celem konkursu, ogłoszonego w związku z obchodami dwudziestolecia Polski Ludowej, było

¹⁸ Anna Zyta Bartkowska publikująca pod pseudonimem Zyta Oryszyn. -

¹⁹ Wszystkie cytowane powyżej listy do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego znajdują się w zbiorach Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie. Za wskazanie ich dziękuję dyrektorze Muzeum — p. mgr Ewie Łoś.

„pokazanie czołowej problematyki społeczeństwa Lubelszczyzny, jego przemian ideowych, intelektualnych i obyczajowych na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat”. Tymczasem Sted, jak to Sted, pisał o koszeniu trawy nad Wisłą, o rozmowach z rolnikami podczas ostatniego lata, które spędził pod Annopolem w gościnnej zagrodzie Wacława Rycherta, pomagając mu w pracy, o tym, jak w pewien skwarny dzień zapalił się drewniany most na Wiśle i jak go wspólnym wysiłkiem okolicznych mieszkańców ugaszono... No, o wszystkim – tylko nie o przemianach „ideowych, intelektualnych i obyczajowych...”.

Ostatecznie któryś z jurorów wpadł na koncept, że wspólny wysiłek dla ratowania wspólnego dobra, jakim bez wątpienia jest most, obiekt służący społeczeństwu, można „podciągnąć” pod przemiany ideowe i, na upartego, także – obyczajowe. A „intelekt” można sobie, od biedy, darować. Aby jednak nie skrzywdzić dwóch pozostałych pretendentów do głównej nagrody, których prace trafiały, przezornie, „w samo sedno” założeń konkursu, dano całej trójce równo: po III nagrodzie i po dziesięć tysięcy złotych.

*

W końcu grudnia 1964 r. dostałem w redakcji list od Stachury. Pisał z Warszawy:

W-wa 18 XII [19]64

Cześć Mirek!

„Nie rozmazując – jak mówi Benia Krzyk – kaszy po czystym stole”, przechodzę od razu do rzeczy.

Jest u mnie raczej bryndza ostatnio, bo skończyło się stypendium Borowskiego, a nie chciałbym na razie zabierać się znów do pokera i szachów. Tylko w ostateczności.

Czy nie widzisz zatem więc jakiegoś jednego czy dwóch moich wieczorów w mieście Lublinie? Wiesz dobrze, że nie lubię tych imprez i jeśli się zgadzam na to, to coś w tym musi być. Przyczyna.

Wróciłem jakiś tydzień temu z Paryża i na razie nie wychodzę z chałupy. W Paryżu było nieźle. Rozmaicie. Raz tak, raz tak, czyli jak to mówią, na dwa razy.

Co do ewentualnych moich wieczorów, to mogę Cię zapewnić, że Ci, którzy przyjdą posłuchać, a myślę, że takich by się znalazło sporo, nie pożałują. Tyle o tym. -

Teraz ściskam łapę. Są Święta Bożego Narodzenia i życzę Ci z tej okazji wszystkiego najlepszego. -

Sted -

Warszawa 26

Rębkowska 1 m. 15 -

A tymczasem w redakcji „Kameny” szykowały się wielkie zmiany. Atmosfera była fatalna. Musiałem o tym wspomnieć w liście do Steda, bo w odpowiedzi, jaka nadeszła wkrótce z Warszawy, nawiązywał także do zmian w „Kamenie”:

W-wa 29 XII [19]64

Cześć Mirek,

dostałem Twój list i dziękuję za życzenia noworoczne dla mnie i mojej żony. I my życzymy Tobie i Twojej Żonie tego samego: „wiele pomyślności”.

Byłem w Związku [Zarządzie Głównym ZLP – przyp. M. D.] dzisiaj zapytać o tak zwaną «akcję literacką», [Chodziło o płatne wieczory autorskie – M. D.]. W tej chwili nie wiedzą, bo to stary rok i nowy rok i stare papiery pomieszane są z nowymi. Mają coś wiedzieć gdzieś za tydzień. -

Więc rób na razie co możesz. Oczywiście chcę Ci powiedzieć, że jeśli nic Ci się nie uda, to nic się takiego nie stanie. Z głodu nie pomrę. Więc staraj się, ale w miarę. Gdyby Cię to miało za dużo kosztować – puść wodze. -

To ci dopiero wiadomość o odejściu Bechczyc-Rudnickiej. Dochodziły mnie o tym słuchy w Lublinie, gdy byłem, ale nie myślałem, że to już. I mówisz, że syn KAJ-a na Jej miejsce. -

Ciekawe to jest, jak Ci się będzie układać z nim robota. Waszego nowego naczelnego znam. Poznałem go kiedyś u KAJ-a na Wigilii. Ale nie wiem. -

Trzymaj się – Sted -

Od 1 stycznia 1965 r. „Kamena” miała nowego redaktora naczelnego. Po odejściu, w wieku siedemdziesięciu sześciu lat, na emeryturę Marii Bechczyc-Rudnickiej na jej miejsce przyszedł Marek Adam Jaworski (MAJ), ostatnio – sekretarz redakcji „Głosu Szczecińskiego”, a przedtem – wieloletni depeszwowiec w „Sztandarze Ludu” i „Głosie Szczecińskim”. We wczesnej młodości MAJ, syn KAJ-a, pisał wiersze, i nawet nakładem Biblioteki „Kameny” wyszedł jego tomik *Wisła w Kazimierzu...*

Mimo zachodzących w zespole redakcyjnym zmian oraz przygotowań do przejścia „Kameny” (dotowanej dotychczas przez Wydział Kultury WRN w Lublinie) przez RSW „Prasa”, redakcja nadal mieściła się w lokalu Związku Literatów Polskich, przy ul. Granicznej.

Na Granicznej zatem otrzymałem w lutym kolejny list od Stachury. U Steda było widocznie coraz bardziej krucho z pieniędzmi, a przed zarabianiem na życie grą w pokera nadal się wzbraniał. Tymczasem ja nie mogłem załatwić mu żadnego spotkania autorskiego. Sted pisał – może dla przydania swoim słowom silniejszego nacisku – czerwonym atramentem:

W-wa 11 II 1965

Cześć Mirek,

co jest, że nic nie piszesz? Ja dostałem niby nową nagrodę za opowiadanie, ale ciągle nie wypłacają pieniędzy, poza tym tak się zadłużyłem, że po oddaniu długów zostaną mi z tej nagrody nędzne okruczki. Więc wszystko, co załatwisz, to będzie dobre. A Ty milczysz! Może nic nie chce wyjść? To napisz.

Ściskam łapę

Sted

Pozdrów Panią Olę serdecznie.

A może puszcziliby jakieś opowiadanie albo wiersze w radio tam u was.

Obgadałem sprawę z Jurkiem Księskim, poetą, z redakcji literackiej lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia; otworzyły się także możliwości wyjazdów na spotkania autorskie na prowincji, których organizatorem był Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy; coś tam też obiecywał mój nowy naczelny... Zawiadomiłem o tym Steda.

Wkrótce przysłała do redakcji duża brązowa koperta, a w niej – maszynopis opowiadania i sążnisty list od Stachury...

W-wa 24 II [19]65

Cześć Mirek,

dziękuję za list, który dostałem, zdaje się, przedwczoraj. U mnie święto, bo w poniedziałek dali siedem patyków nareszcie tej nagrody. I chociaż prawie cztery musiałem z mety oddać, to jednak trochę zostało i na jakiś czas jest spokój.

Dlatego też odpowiadam Ci spokojnie, że jeśli chodzi o wieczory KKM-u w terenie, to tego nie załatwiam, bo ja do tego się nie nadaję. Wieczór lub dwa w Lublinie, owszem, ale jeździć po miejscowościach i powtarzać historię – to nie.

Co do wierszy, to na przykład nie zrozumiałem tego w Twoim liście, czy dwa dla Kameny i dwa dla Radia, czy dwa te same tu i tu. Bo jeśli chodzi o Radio, to dwa mogę dać, dla Kameny natomiast nie mam. Sześć ostatnich nowych wierszy drukowałem w listopadzie czy w październiku w „Twórczości” i jeśli chodzi o wiersze, to poprzestanę na rzadkim druku od czasu do czasu w „Twórczości”, bo piszę mało i wolno. Gdzie indziej nie będę drukował.

Co do opowiadań, to na razie wysyłam Ci *Los niezłomny* dla Radia. 8 stron. Krótszego nie mam. Oczywiście, jeśli nie może iść bez skreśleń, to nie. W każdym razie wysyłam Ci je. Bo adres Księskiego podałeś tylko Polskie Radio ul. Obrońców Pokoju, ale bez numeru domu. Może i to wystarczy, ale pewniejszy będę, wysyłając je Tobie.

Do „Kameny” być może prześlę coś trochę później. Ale jeśli stawiają limit, to raczej jednak nie. Ja już sobie stawiam takie limity, że wystarczą mi własne. Oczywiście, Ciebie doskonale rozumiem. Piszesz mi po prostu, jak sprawy stoją.

O „akcję literacką” w Związku pytałem, ale nic nie mieli. Jeszcze zapytam ostatni raz. Potem już będę czekał, aż oni zaczną mnie pytać. Będę miał wtedy też przyjemność ich zwodzić.

Być może będę w Lublinie na początku marca z żoną, która chciałaby zobaczyć i być na tygodniu filozoficznym KUL-u.

Wtedy Ci podziękuję serdecznie za Twoje starania, co czynię już teraz listownie.

Z nowymi Twoimi zwierzchnikami mam nadzieję prędko sobie dasz radę. Masz dużo pracy, to nie jest złe. Bezrobocie ci więc nie grozi.

Napisz mi o losach *Losu niezłomnego*, jak tylko coś będziesz wiedział. Pamiętaj, żadnych skrótów. Albo całe, albo wcale.

Ściskam łapę

Zapytam w Związku, co by było, gdybyście, jak piszesz, wystąpili do mnie albo do nich z oficjalnym zaproszeniem. Ale nie rozumiem, co to jest ta „akcja literacka”. Czy to znaczy, że Wy wtedy nie płacicie, a płaci Związek?

Pozdrów serdecznie Panią Olę.

Ostatecznie z wieczorów autorskich Stachury w Lublinie nic wtedy nie wyszło. *Los niezłomny* nie poszedł na antenie radiowej. Opowiadanie zostało w końcu wydrukowane w „Kamieniu”, ale dopiero w sierpniu (nr 15, z 16-31 VIII 1965 r.).

*

Ciekawe, że i ze względu na treść, jak i na formę, *Los niezłomny* stanowił jakby kontynuację prozy poetyckiej *Która jest jak oliwa na wodę* sprzed ponad pięciu lat („Kamena”, nr 1, z 16 I 1960 r.), kiedy to Sted zaczynał coraz pewniejszym krokiem wstępować na „firmament” (jeszcze na razie) lubelski. Tylko że *Los niezłomny* był bardziej dojrzały i bardziej... smutny. Jakby muśnięty już przecuciem tego, co miało się stać w warszawskim mieszkaniu Poety w kilkanaście lat później...

W 1960 r., pełen nadziei i wiary w przyszłość, Stachura kończył swoją poetycką wypowiedź słowami:

„Wszystko można zrobić. Pory roku zmieniać w zgięciach przegubów. Syna przenosić do gajów oliwnych a gościnnych tak samo. Miłego mu konia. Wszystko można napisać. Trzeba tylko posiadać umiejętność i czucie i jeszcze czułość, która jest jak oliwa na wodę.

Nie mówię, że ja to mam, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Ja się teraz prawie nie liczę. Ale może kiedyś ja też będę się liczył. Będę wyspa na jeziorze. Będę wyraźny. Będą mnie pielęgnować.

Teraz sobie wędruję, ale za to nie gniję. Droga wysysa mi pięty, ale ja za to nie gniję”.

W roku 1965 w *Losie niezłomnym* Sted pisał:

„[...] Uznałem dzisiaj idąc, że przecież nigdy się na to nie zgodzę, żeby być czym innym niż jestem, a od czego się roją półkule. Ani na to, ani tak samo na to, że: jakoś to będzie, jak pan Bóg da zdrowie, a Matka Boska pieniądze, że coś się musi zmienić, byle do wiosny. Uznałem, że tysiąc razy wolę przeminąć jak kometa. Tysiąc razy wolę mignąć tylko jak meteor i wsiąknąć w niezgłębione mgły. [...] Szedłem prosto dalej. Szedłem jak we śnie, a jeszcze potem szedłem właściwie tak, jakby to już się stało. Jakby już mnie nie było. Jakbym to nie ja szedł, tylko mój cień złocisty. Ten sam, który długo po mnie będzie się tułał [...]”.

Los niezłomny to było jakby ostateczne zamknięcie lubelskich lat Stachury.

*

Ukończył studia w 1965 r. Miał dwadzieścia osiem lat, został magistrem filologii romańskiej. W odróżnieniu od swoich kolegów-absolwentów Edward Stachura nie rozglądał się teraz za posadą, za etatem; on już od ponad dziesięciu lat zatrudniony był na stałe w instytucji, której na imię – Poezja...

Spotykałem w tamtych latach Steda raczej rzadko i najczęściej przypadkowo, głównie w Warszawie. Widzę go w pamięci – w różnych miejscach i sytuacjach; w kawiarni Związku Literatów Polskich przy Krakowskim Przedmieściu – jak gra w szachy; na „ciuchach” koło Dworca Wschodniego; na ulicy Wiatracznej na Grochowie; na rogu Nowego Świata i Foksal – gdy mówi mi, że właśnie pisze nowe opowiadanie, a na moje bezsensowne pytanie: „Na ile stron?” odpowiada ze zdziwieniem: „Jak to: na ile? Na tyle – na ile się napisze!”

*

W Lublinie zobaczyliśmy się znowu latem 1967 r., podczas zorganizowanego tutaj pierwszego (i jak dotąd: ostatniego) Zjazdu Młodych Pisarzy

Polskich. Dwudniowe obrady odbywały się w sali widowiskowej Domu Nauczyciela. Sted przyjechał na ten zjazd już w glorii poety – przedstawiciela nowego pokolenia, autora cieszącego się sławą i uznaniem jednych, a zawiścią innych.

Zapamiętałem z owych dwóch dni: doskonały referat Tomasza Burka o młodej polskiej literaturze oraz płomienne przemówienie lubelskiego poety Henryka Pajaka na temat wolności słowa i jeszcze to, że w pewnym momencie Zbigniew Słojewski, czyli Hamilton z tygodnika „Kultura”, wpuścił – dla kawału – na salę jakiegoś przygodnego psa, który zagłuszył któregoś z mówców swym histerycznym ujadaniem (co zresztą wzbudziło ogólną radość wśród zebranych).

Zakończenie Zjazdu Młodych Pisarzy Polskich miało swój finał w klubie „Nora” przy Krakowskim Przedmieściu 32. Zorganizowano tam „wieczorek towarzyski” z muzyką i tańcami dla przybyłej do Lublina czołówki młodej polskiej literatury. Organizatorzy zafundowali ponadto każdemu po dwa ciastka i po dużej kawie; za alkohol należało płacić z własnej kieszeni. To spotkało się z gorącymi protestami ze strony uczestników zabawy. A ich protest wyraził się w fakcie, że ciastek demonstracyjnie nie jedzono w ogóle, pijąc wódkę na pusty żołądek, co nie pozostało bez wpływu na nastroje. Między innymi o mały włos nie doszło wówczas do poważnej awantury pomiędzy Stachurą a Hamiltonem, który jeden ze swoich ostatnich felietonów w „Kulturze”, poświęcony Stedowi i jego twórczości, zatytułował złośliwie: *Święty Franciszek w džinsach*. Dziwnym zbiegiem okoliczności siedziałem wówczas wraz ze Słojewskim oraz Witkiem Parczewskim, pracownikiem sekretariatu Zarządu Głównego ZLP, przy tym samym stoliku, obok podtrzymującego sufit filara, co podczas pamiętnego wieczoru autor-skiego Steda 2 lutego 1960 r., gdy także draka wisiała w powietrzu.

*

W 1968 r. ukazuje się drukiem poemat Edwarda Stachury – *Po ogrodzie niech hula szarańcza* (uhonorowany w 1969 r. Nagrodą im. Stanisława Piętaka); w tym samym roku Stachura wydaje poemat – *Przystępuję do ciebie*; w roku 1969 wychodzi pierwsza powieść Steda – *Cała jaskrawość...*

Rozpoczyna się seria podróży Stachury po świecie. Wiosną 1969 r. wyjeżdża do Meksyku na roczne stypendium przyznane przez tamtejszy rząd; studiuje na uniwersytecie język hiszpański, historię literatury południowoamerykańskiej, tłumaczy z hiszpańskiego na polski i z polskiego

na hiszpański. Przygotowuje m.in. antologię polskich opowiadań *Sto lat noweli polskiej*, wydaną w języku hiszpańskim. Tam też, w Meksyku, rozpoczyna pisanie swojej drugiej powieści – *Siekierzada albo Zima leśnych ludzi*. Książka ukazała się w 1971 r. W tymże 1971 r. – podróż na Bliski Wschód: Stachura odwiedza Damaszek i Bejrut...

Potem... potem zaczyna się wielka podróż Stachury przez Polskę. Niby nic nowego – wszak podróżowanie jest dla Steda sposobem życia i formą tworzenia. Ale tym razem spogląda on chyba na to swoje polskie wędrowanie z innego dystansu; może jest to odkrywanie po raz drugi tych samych miejsc, spotykanie znajomych ludzi, aby dokonać ich nowej oceny – z perspektywy minionych lat, własnej dojrzałości, zagranicznych, zamorskich podróży i doświadczeń...? Wynikiem będzie opowieść-rzeka *Wszystko jest poezja* (1975 r.).

Na kartach *Wszystko jest poezja* niejeden raz natykamy się na Lublin i Lubelszczyznę...

*

Kiedy latem 1972 r. wróciłem do redakcji po wielomiesięcznym pobycie w Londynie, stwierdziłem z miłym zaskoczeniem, że nazwisko Edwarda Stachury znowu – po siedmioletniej przerwie – jest obecne na łamach „Kameny”. Oto w numerze 12 (z 4 VI 1972 r.) na pierwszej stronie pojawiły się trzy utwory Steda; były to teksty jego piosenek: *Życie to nie teatr*, *Nowy dekalog – czyli dziesięć wskazań i dziesięć przeciwwskazań dla ciebie*, *sieroto nieboża Zygmusiu K.* oraz *Na błękanie jest polana*. W numerze 15 (z 16 VII 1972 r.) zamieszczono trzy inne piosenki Steda: *Jestem niczyj*, *Błogo bardzo sławił będę ten dzień* i *Co warto*. Nawiasem mówiąc, był to jubileuszowy, 500 numer pisma; zamieszczali w nim swoje utwory: Kazimierz Andrzej Jaworski, Anna Kamieńska, Julian Kawalec, Jerzy Krzysztoń, Władysław Machajek, Tadeusz Śliwiak, Witold Zechenter i wielu innych znanych autorów.

To pojawienie się Stachury na Lubelszczyźnie wiązało się z jego, wspomnianą już wyżej, wielką podróżą przez Polskę, a także z jego kontaktami towarzyskimi z mieszkającym w Lublinie Kazimierzem Grześkowiakiem, i wreszcie – było związane z mającym się odbyć w Kluczkowicach koło Opola Lubelskiego, w tamtejszym Technikum Ogrodniczym, wieczorem autorskim.





Skwer w miejscu dawnego placu targowego, w tle ulica Lubartowska
(w latach 1958-1991 ulica Rady Delegatów), lata 50. XX w.
Fot. Edward Hartwig.

6

Na wiosnę 1972 r. szykował się Stedowi jego pierwszy wyjazd do Norwegii²⁰. I właśnie wówczas, w marcu 1972 r., otrzymał w Warszawie list od Władysławy Zossel z Kluczkowic pod Opolem Lubelskim z zaproszeniem na wieczór autorski i spotkanie z młodzieżą miejscowego Technikum Ogrodniczego.

Władysława Zossel była dawną znajomą Stachury, jeszcze z lat studenckich na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Z wykształcenia polonistka, w 1967 r. osiedliła się w Kluczkowicach i w tamtejszej szkole ogrodniczej uczyła języka polskiego, prowadząc także szkolny zespół recytatorski. Wielbicielka twórczości autora *Całej jaskrawości* i *Dużo ognia* często podsuwała swoim wychowankom jego utwory – do czytania i do wykonania na estradzie. Mieszkała wraz z matką w obrębie szkoły, mieszczącej się w dawnym majątku Kleniewskich – w pałacu stojącym w rozległym parku, w pobliżu wielkich stawów, nad którymi znajduje się letni ośrodek wypoczynkowy. Leżą Kluczkowice w pięknej okolicy, osiem kilometrów na południe od Opola, przy szosie wiodącej do Józefowa i dalej – do Annopola...

List z Kluczkowic zapoczątkował kilkuletnią korespondencję pomiędzy Edwardem Stachurą i Władysławą Zossel; dom w Kluczkowicach stał się dla Steda jednym z tych miejsc, gdzie mógł zawsze liczyć na gościnę i szczere uczucie przyjaźni. I chociaż poeta odwiedził Kluczkowice tylko dwa razy, darzył tę miejscowość sentymentem niemal rodzinnym.

Spośród czternastu listów i kartek pocztowych wysłanych przez Stachurę w latach 1972-1978 do Władysławy Zossel; dwanaście zaadresowanych jest właśnie do Kluczkowic; dwa ostatnie listy – do Lublina, gdzie p. Zossel-Wojtysiakowa przeniosła się po wyjściu za mąż.

Siedem listów z początkowego okresu korespondencji dotyczy sprawy przyjazdu Stachury na spotkanie autorskie:

²⁰ Stachura przebywał w Norwegii od 10-24 kwietnia 1972 r. Zob.: W. Szyngwelski, *Sted. Kalendarium życia i twórczości Edwarda Stachury*, Warszawa 2003, s. 114.

I

[Koperta zaadresowana: Pani WŁADYSŁAWA ZOSSEL, KLUCZKOWICE,
Technikum Ogrodnicze, P-ta Wrzelowiec, Pow. Opole Lubelskie]

W-wa 29 III [19]72 -

Nie przyjechałem, bo nie było mnie onego czasu w W-wie,
a i potem wyjechałem i dlatego dopiero teraz odpisuję. -

Żałuję, że nie mogłem przyjechać. MOGĘ PRZYJECHAĆ
3 maja lub 4 maja. Ale 3 maj – to jest ładna data. Jadę teraz do
Norwegii i wracam z końcem kwietnia. -

500 zł za „spotkanie z pisarzem” się przyda, bo choć jest
u mnie ultrabarokowo, ale nie jest ultrafinansowo. -

Pozdrawiam serdecznie i życzę WESOŁYCH ŚWIĄT. -

Będę w W-wie kilka dni, 7, 8, 9 kwietnia (Do Norwegii jadę 10
IV). Może będzie jakiś list od Ciebie w tej sprawie. -

Mój adres:

Edward Stachura

Warszawa 5

ul. Miodowa 1

Poste Restante

II

[Koperta zaadresowana: Pani Władysława Zossel, Technikum Ogrodnicze,
Kluczkowice, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie]

W-wa 24 IV [19]72

Dziękuję za list i zaproszenie; oficjalnego nie trzeba.

Wyjadę rano do Opola Lubelskiego, tam się przesiadę na auto-
bus do Kluczkowic. Autobus do Opola jest, zdaje się, przed
ósmą rano. Myślę, że około 13 lub 14 godz. będę na miejscu.

Dziękuję za życzenia wszystkiego dobrego w Norwegii. Takż
było. Bardzo cudownie. Wróciłem dzisiaj. Zmęczony, ale „sło-
neczny i rozjaśniony”.

Do zobaczenia 3 maja Pozdrawiam – Sted

III

[Koperta zaadresowana: Pani Władysława Zossel, Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie]

W-wa 10 V [19]72

No więc fatalnie,
nawaliłem z przyjazdem. Przepraszam. Mógłbym się usprawie-
dliwić i to nie dlatego, że człowiek jest tworem inteligentnym
i potrafi nie od takich wyrzutów sumienia się wyzwolić, jak
niestawienie się na umówione spotkanie zwane: autorskie.
Nie mogłem spać tej nocy przed podróżą do Kluczkowic
i byłem wykończony. Po prostu.
Pozdrawiam i jeszcze raz bardzo przepraszam

E. Stachura

IV

[Koperta zaadresowana: Władysława Zossel, Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie. List nadany jako „ekspres”]

W-wa 29 IX [19]72

Władka,
milczałem, bo wydawało mi się, że napisałem i że pisałem
o tym, że chcę bardzo zrehabilitować się wobec Twojej mło-
dzieży i wobec Ciebie oczywiście. I na ten list nie miałem
odpowiedzi. Wynika, że go nie otrzymałaś lub nie wysłałem
go, napisałem i nie wysłałem, wątpię, ale wszystko możliwe.
Plakat otrzymałem. Piękny. Wzruszający. Przykro mi bardzo,
że tak zawiodłem. Nie miałem sił. Nie udało mi się zasnąć
i rano byłem kruchutki, bo tak było, że [nie pierwsza to
– skreślone; przyp. M.D.] wtedy mało spałem, nerwy i demony
bardzo mnie szarpały, gnębiły, poniewierały i co tylko chcesz.
No, nie ma o czym mówić, choć może jest, ale po co?

Ja w stolicy od pewnego czasu rzadko przebywam. Teraz jestem i będę jakiś czas, bo mam sprawy różne i wiele ich. Chętnie przyjadę i odwrócę w głowach Twojej młodzieży, której, jak mówisz, przewróciłaś w głowie moją osobą. Albo, kto wie, może jeszcze bardziej przewrócę, bo przyjechałbym z niespodzianką.

Napisz mi, czy można załatwić w Twojej miejscowości jakieś spanie, bo najchętniej, i to by było najpewniejsze, przyjechałbym jednego dnia, a następnego zrobilibyśmy w Twojej szkole spotkanie. W ten sposób nie trzeba się umawiać na konkretny dzień, tylko przyjeżdżam pewnego dnia, a następnego robimy spotkanie.

Co Ty na to?

Pozdrawiam serdecznie

Sted

V

[Kolorowa widokówka ze zdjęciem wrocławskiego Rynku, zaadresowana: Pani Władysława ZOSSEL, Kluczkowice 10, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie, woj. lubelskie]

16 X [19]72 W-w

Dziękuję za list. Przyjadę pod koniec miesiąca tego wartko bieżącego.

Przepraszam, że odpisuję dopiero teraz. -

Pięknie pozdrawiam i do zobaczenia -

Sted -

VI

[Koperta zaadresowana: Władysława Zossel, Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie, woj. lubelskie]

W-wa 3 XI [19]72

Władysławo, -

nie dojechałem do Kluczkowic. W sobotę pojechałem rano do Lublina, gdzie chciałem pobyc do 1 XI i 2 XI ruszyć do Opola Lubelskiego, skąd do Kluczkowic. Ale przydarzyło mi się w sobotę, pod Lublinem, gdzie byłem z kolegami, że spadłem z drzewa i potłukłem się bardzo mocno. W niedzielę poszedłem na pogotowie ratunkowe na Sławińskiego, obwiązali, zabalsamowali mnie bandażami, ręka na temblaku; powlokłem się na dworzec i ani razu nie mdlejąc, dojechałem do stolicy. -

Teraz liżę rany i potrwa to jeszcze z tydzień chyba, 10 dni. -

Pozdrawiam Cię -

S.

[strzałka oznaczająca „verte”; na drugiej stronie kartki:]

Co Ty na to wszystko? -

Na listopad miałem różne zamiary i plany, ale jeśli uważasz, że mój wieczór w technikum jest nadal aktualny, to jak tylko wyzdrowieję, skoczyłbym na dwa dni w Twoje okolice. -

Dziwne to wszystko. Dojechałem na drugi koniec świata już, na drugą półkulę, a nie mogę dojechać do Kluczkowic. Ale do trzech razy sztuka. -

Jeszcze raz pozdrawiam i czekam na możliwie błyskawiczną odpowiedź. -

VII

[Brak koperty]

Chełmno n/Wisłą 18 XI [1972 r.]

Władka,

powoli zdrowieję. Siedzę w kawiarni PDK w Chełmnie, patrząc na Ratusz, i myślę sobie Kim jesteś.

Bo muszę Ci powiedzieć, że nie potrafię sobie tego uzmysłwić, to znaczy unaocznić. Szukam w kinie pamięci i nic. Pewnie jak Cię zobaczę, to już wszystko będę wiedział. I może zrozumiem niektóre zwroty w Twoich listach. Wszystko na razie jest bardzo pięknie tajemnicze.

Przyjadę w tym miesiącu na pewno. Przepraszam raz jeszcze za ten nieszczęsny upadek i „twarde lądowanie”, jak to precyzyjnie nazywasz.

Pozdrawiam

Sted

Pamiętam, że 25-27 nie. Więc zaraz potem.

Ostatecznie wieczór autorski Stachury odbył się w Kluczkowicach 30 listopada 1972 r. Przez prawie siedem miesięcy od pierwszej, ustalonej przez samego Steda, daty wciąż coś stawało na przeszkodzie w doprowadzeniu do tego spotkania.

Autor *Siekierezady* bywał w tym okresie w Lublinie. Wpadał tutaj na krótko, m.in. po to, aby odwiedzić zaprzyjaźnionego z nim Kazimierza Grześkowiaka, z którym znali się od roku 1966. „Sasza”, jak kiedyś popularnie w Lublinie nazywano Grześkowiaka, rozpoznawszy któregoś dnia na lubelskiej ulicy Stachurę, przedstawił mu się jako wielbiciel jego wierszy i opowiadań, po czym udali się obaj na studencką stancję piewcy *Panien z Cicibora*, gdzie przez dwie doby śpiewali przy wtórze gitary, mając jeszcze za towarzysza – butelkę. Lubili potem nieraz wspólnie włóczyć się po starym cmentarzu przy ulicy Lipowej i kiedyś znaleźli na jakimś omszałym nagrobnym pomniku długie wierszowane epitafium, według którego Sted zamierzał napisać słowa piosenki dla Grześkowiaka. Póki co, nastawał, aby autor *Chłop żywemu nie przepuści* wykonywał na estradzie jego *Balladę dla Potęgowej...*

Latem 1972 r. pojawiły się na łamach lubelskiej „Kameny” piosenki Edwarda Stachury (w numerze 12 – *Życie to nie teatr, Nowy dekalog...*, *Na błękitcie jest polana*; a w numerze 15 – *Jestem niczyj, Błogo bardzo sławił będę ten dzień i Co warto*); był to ponowny kontakt z tym pismem po siedmiu latach przerwy i chyba nawet latem Stachura złożył towarzyską wizytę w redakcji.

Wreszcie w końcu października w położonych o kilka kilometrów od Lublina Jakubowicach Murowanych – podczas zakrapianej, raczej obficie, biesiady przy ognisku u stóp ruin jakubowickiego zamku, a w towarzystwie Grześkowiaka i dwóch jeszcze innych znajomych – wydarzył się ów niebezpieczny wypadek, o którym pisze Stachura w liście z 3 listopada 1972 r.

W podobny sposób zwierzał się zresztą i Grześkowiakowi na kartce pocztowej wysłanej do Lublina tuż po powrocie do Warszawy: „W niedzielę byłem na pogotowiu na Sławińskiego. Zabalsamowany zostałem, to znaczy żebra i ręka na temblaku. Spałem w «Lubliniance», noc miałem straszliwą. Dzień nie lepszy. Cudem dojechałem na gapę na Rębkowską street 1 m. 15 [adres warszawskiego mieszkania Stachury – przyp. M.D.]. Teraz leżę i liżę rany. To trochę potrwa.

Został w Twoim wozie zielony sweter gruby. Przyślij albo włóż do szafy, a ja go przy najbliższej [okazji] odbiorę”.

W wydanym w 1975 r. tomie *Wszystko jest poezja* Sted jeszcze raz miał wrócić do wypadku w Jakubowicach: „Zapadł na podniebnej domenie pod Lublinem wczesny zmierzch końca października, który można było tylko rozświetlić żywym ogniem. Bez żadnej wkołokrąg elektryczności. Okna stojącego opodal zamku też nie rzucały blasku tysiąca świec odbijających się w kryształowych lustrach. Lustra doszczętnie potłuczone, szyby w oknach wybite, świece wypalone, kandelabry pokradzione, wszystko skończone – ponurym mrokiem i pustką oczodołów zionęły ruiny dawnej świetności tego miejsca. Ognisko więc. Dużo ognia. Skoczyłem na drzewo, by nałamać gałęzi [...]”.

A potem, po powrocie do Lublina z okropnym bólem w ramieniu i klatce piersiowej, po pożegnaniu się z towarzyszami biesiady udał się na pogotowie.

„Na pogotowiu ratunkowym przy Sławińskiego obwiązali mi żebra bandażami, na lewą rękę z wewnętrznym wylewem krwi okład z wody borowej i temblak. Przypomniała mi się jedna noc – na tym samym pogotowiu, w tym samym miejscu, naprzeciw akademika KUL-u. W ogóle wataha opadła mnie ponurych wspomnień. [...] Nic dobrego mnie tu nigdy nie

spotkało. Nieszczęście dla mnie to miasto, które widziało narodziny Emila Meyersona i śmierć Józefa Czechowicza (za dwa dni Święto Zmarłych, chciałem pójść tej nocy na grób Czechowicza, by odprawić akt poetycki; specjalnie po to przyjechałem do tego miasta; i jak teraz?). Są takie miasta, które trzeba nie tylko porzucać, ale jeszcze z daleka omijać, nie zachodzić do nich przejazdem, bo nic ci się w nich nie wie dzie”.

Również na kartach *Wszystko jest poezja* znajduje się refleks wieczoru autorskiego Edwarda Stachury w Kluczkowicach. A także – jego późniejszej wędrówki wzdłuż Wisły, do Annopola.

Tę nadwiślańską podróż rozpoczął Stachura gdzieś w rejonie Chełmna w połowie listopada 1972 r. Dążył przez Inowrocław, Włocławek do Warszawy, gdzie w klinice na ul. Lindleya odwiedził czekającą na operację poetkę Barbarę Sadowską; potem ruszył do Opola Lubelskiego. „Opole Lubelskie. Wisła niedaleko. Dwadzieścia kilometrów. Restauracja «Opolanka» na Starym Rynku. Grzane piwo z cukrem [...]. Jest 30 listopada 1972 r. [...]. Dalej. Być ruchem w ruchu. Na piechotę do Kluczkowic. Do autobusu, na który tłumny szturm, nie dostałem się. Nie chciałem narażać gitary”.

I nareszcie ten nie mogący od wielu miesięcy dojść do skutku, w tylu listach zapowiadany, wieczór autorski Stachury w Kluczkowicach.

„Spotkanie autorskie w Technikum Ogrodniczym w Kluczkowicach – ciągnie swą opowieść Sted we *Wszystko jest poezja* – w dawnym pałacu Kliniewskich [powinno być, oczywiście: Kleniewskich – przyp. M.D.]. Pierwsze spotkanie autorskie po siedmiu miesiącach. W Genewie mam do odebrania nagrodę: trzy tysiące szwajcarskich franków [Stachura otrzymał Nagrodę Kościelskich – przyp. M.D.], ale tu potrzebne mi są złotówki. Ale nie mówiłem na spotkaniu wierszy. Rozmawialiśmy, a potem zaśpiewałem kilka moich piosenek. Dwie noce śpię w internacie. W ciągu dnia chodzę po lasach nadleśnictwa Niezdów. Grudzień, a pogoda niebywała. Niebywale ciepło. Zima jak z Vivaldiego. Niebywale też karmi mnie najwyszukańszymi potrawami pani Zossel, mama Władki – koleżanki z lat uniwersyteckich. Niejawne noce jak zwykle prawdziwie koszmarnie, a jawne dni jakby nieprawdziwe, jak prawdziwy cudowny sen. Co tu jest prawdziwe? Dalej. Do Wisły. Pod Annopol!”

Zachowała się taśma magnetofonowa z nagraniem tamtego spotkania autorskiego Stachury w Kluczkowicach. Sted śpiewa przy gitarze piosenki, młodzież pyta, kto to jest „Gałązka Jabłoni” z *Siekierezady*, o to, jakie miał „mocne” momenty w życiu... Stachura z kolei mówi: jak jeździ

w Bieszczady na wyręb drzewa i że za taką właśnie ciężką pracę płacą bardzo mało²¹. I że właściwie on nie powinien brać pieniędzy za to tutaj, w Kluczkowicach, spotkanie, bo to jest dla niego łatwa praca w stosunku do tamtej, w Bieszczadach, przy wyrębie. Mówi też, że według niego ludzie dzielą się na słabych i silnych. Ci pierwsi są biedni, bo zawsze pozostaną słabymi. A silni są biedni, bo nikt nie wie, jaką muszą płacić cenę za to, by być silnymi.

„Dla mnie zawsze fascynująca była jego apoteoza życia” – powie po latach, wręczając mi pakiet listów Stachury – Władysława Zossel. „To mnie najbardziej pociągało w jego twórczości. I dlatego tak wielkim szokiem było potem, że on, taki silny, on właśnie, targnął się na swoje życie”.

Z Kluczkowic wyruszył Stachura w dalszą wędrówkę wzdłuż Wisły. Przez Wólkę Kuligowską, Józefów, Annopol do położonych obok Jakubowic. „Do Jakubowic, do domostwa Rychertów na górze, na samym brzegu Wisły, nie opodal nowego mostu, czyli do celu tego podróжного dnia [...] przybyłem idealnie o zachodzie słońca”.

To właśnie w obejściu Rychertów mieszkał Stachura w tamte gorące lato 1963 r., gdy żołnierze budowali nie opodal drewniany most na Wiśle, gdy on sam pomagał gospodarzowi w żniwach i gdy zaczął w jego wyobraźni kiełkować pomysł umiejscowionego właśnie tutaj, *Pod Annopolem*, opowiadania, które później dostało nagrodę w lubelskim konkursie literackim i zostało wydrukowane w 1964 r. w „Kamieniu”. A potem jeszcze, kiedy przyjechał do Lublina po odbiór nagrody, wybrawszy się na opustoszały – ze względu na lato i wakacje – KUL, natknął się przypadkowo na błądzącą, tak jak i on po jasnych, chłodnych korytarzach, koleżankę ze studenckich lat, Władysławę Zossel. Posiedzieli przez godzinę na ławce pod oknem (a może – na dziedzińcu, przy bocznej alejce, od strony Zakładu Romanistyki?), pogadali i rozstali się...

Autobusem, przez Kraśnik i Lublin, wracał Stachura ze swej nadwiślańskiej podróży do Warszawy. Przed wyjazdem kupił w Annopolu kilka czarno-białych widokówek z panoramą miasteczka, widzianą od dołu, od strony Wisły.

²¹ Stachura pracował w zielonogórskich lasach (wieś Grochowice pod Głogowem). Na spotkaniu w Kluczkowicach mówił: „Jak ja robiłem na zrębie w lesie, no to robota jest straszliwa, a zarabia się, prawda, grosze. Zarobiłem w ciągu miesiąca tysiąc czterysta złotych. Jak żyć za to miesiąc na przykład”. Taśmy z nagraniem spotkania w posiadaniu Władysławy Zossel-Wojtyśiakowej, której składam podziękowania za ich udostępnienie.

W Lublinie wysiadł z „pekaesu”, poszedł na LSM, do Grześkowiaka, po pozostawiony w jego trabancie podczas powrotu z mało szczęśliwie zakończonej biesiady w Jakubowicach Murowanych zielony sweter. „Swetra nie odzyskałem” – napisał później we *Wszystko jest poezją*.

Jeszcze z Lublina pisze Stachura kartkę do Kluczkowic, które opuścił przed trzema dniami. Jest to czarno-biała widokówka, jedna z tych, kupionych w Annopolu:

VIII

[Zaadresowane: Pani Władysława Zossel, Kluczkowice 10, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie, Technikum Ogrodnicze]

Lublin, 4 XII [19]72

Pozdrowienia i podziękowania najlepsze za najlepszą gościnę.

Te śniadania i obiady Mamy będą mi się śniły.

Pan Wawer był bardzo sympatyczny. Proszę go pozdrowić.

Edek S.

Taka sama widokówka, bez daty i miejsca nadania, pochodzi – sądząc z treści – z okresu Świąt Bożego Narodzenia 1972 r.²²:

IX

[Zaadresowane: Pani Władysława Zossel & Mama, 24-333 Kluczkowice 10, p-ta Wrzelowiec, woj. lubelskie]

[1974 r.]

Najlepsze pozdrowienia przesyłam. I do zobaczenia. W co nie wątpię.

²² Według ustaleń adresatki, kartka pochodzi z roku 1974.

Dziękuję Ci, Władka, za list i życzenia. Co do zórz jasnych, to niech i Ciebie strzegą i Twoich bliskich.

Sted

Następna kartka pocztowa, barwna widokówka, przedstawiająca czter-nastowieczną Wieżę zegarową w Płocku i stojący na skwerze obok pomnik Ludwika Krzywickiego, ale nadana w Warszawie – o czym świadczy stempel pocztowy – 6 kwietnia 1973 r., pochodzi z okresu, kiedy Stachura wybierał się ponownie do Norwegii²³.

X

[Zaadresowane: Pani WŁADYSŁAWA ZOSSEL, 24-333 KLUCZKOWICE, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie]

[Warszawa, 6 kwietnia 1973 r.]²⁴ -

Dziękuję za uznanie niebywałe. Cieszę się, że Twoja Mama zadowolona. Zagubiła mi się Twoja karteczka z adresem W. I nie podałaś mi Jej nazwiska. Ja, wstydzę się, nie mogę sobie przypomnieć. Będę w Szczecinie z początkiem maja. Będę się tam okrętował do Oslo. -

Pozdrawiam Cię serdecznie jak również Mamę i Twoich chłopaków z klasy. -

Sted. -

Jesienią 1973 r. Stachura kolejny raz zawitał na Lubelszczyznę. Jechał tym razem z południa, od strony ziemi rzeszowskiej, gdzie swoim zwyczajem uczestniczył w żniwach. W położonej między Tomaszowem i Zamościem, słynnej z ostatnich walk podczas kampanii wrześniowej 1939 r. Tarnawatce znajdował się na małym wiejskim cmentarzu grób niedawno zmarłego tra-

²³ Drugi pobyt w Norwegii trwał od 13 maja do 17 czerwca 1973 r. Zob.: W. Szyngwelski, dz. cyt., s. 130. -

²⁴ Datę ustalono na podstawie stempla pocztowego. -

gicznie w wieku dwudziestu dziewięciu lat ociemniałego muzyka jazzowego, Mieczysława Kosza. Sted zajął w te strony właśnie dlatego, by odwiedzić mogiłę Kosza, „który teraz pod ziemią, a przedtem leciał w powietrzu, zanim na ziemię runął. A przedtem grał muzykę jazzową na fortepianie”. Może to wówczas właśnie, w Tarnawatce, zakiełkowała w umyśle Stachury myśl, aby pójść w ślady tego genialnego wiejskiego chłopaka, który nie potrafił znaleźć swojego miejsca w świecie mimo sukcesów i sławy...?

Na początku 1974 r. wysłał Stachura do Kluczkowic noworoczne życzenia z Torunia. Kolorowa pocztówka z reprodukcją obrazu Piotra Pawła Sevin (1650-1710) przedstawia „Polskie poselstwo do Stambułu w 1677-78 r. Obiad wydany przez wielkiego wezyra na cześć polskiego posła, gwasz. 30 x 45 c. 1679 r.”. Oryginał znajduje się – jak głosi dodatkowa informacja – w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Zbiorach Czartoryskich. Sted pisał:

XI

[Zaadresowane: Władysława Zossel, 24-333 Kluczkowice, p-ta Wrzelowiec, pow. Opole Lubelskie, woj. lubelskie]

Toruń 15 I [19]74

Bardzo dziękuję za życzenia i ja Wam Życzę, Tobie i Matuli, wszystkiego lepszego w Nowym Roku i we wszystkich latach Następnym. Zdrowia!

Minął już rok jak u Was nie gościłem w gościnnych progach. Czas, by Was odwiedzić i okolicę.

Pozdrowienia dla Chłopaków ze szkoły, jeśli jeszcze sobie nie poszli w świat.

Sted.

Chyba to latem 1974 r. przyjechał Stachura w odwiedziny do domu pani Zossel. Matka Władysławy gościła go serdecznie pod nieobecność córki. Sted przesiedział trzy dni, w końcu – wyjechał, nie doczekawszy się swej koleżanki ze studiów. Nie miał więcej czasu; wybierał się wkrótce w wielomiesięczną podróż na kontynent amerykański – w ciągu ośmiu mie-

sięcy, na przełomie 1974 i 1975 r. miał przemierzyć część Kanady, Stanów Zjednoczonych i Meksyku²⁵.

Już po wyjeździe z Polski wysłał do Kluczkowic kilka słów z Hamburga. Kolorowa widokówka ze zdjęciami statków pasażerskich w hamburskim porcie i napisem: „Hamburg – Deutschland grösser Hafen”, nadana pocztą lotniczą, zaadresowana: WP. Władysława Zossel, 24-333 Wrzelowiec, Kluczkowice, pow. Opole Lubelskie, POLEN – POLSKA, brzmi:

XII

Hamburg 2 IX 1974

Drodzy,

dziękuję za ostatnią gościnę i za telegram od Władki. Z Hamburga do Londynu i potem prosto do Kanady. Do zobaczenia w Polsce, jeżeli nie w Kanadzie.

Pozdrawiam serdecznie.

Proszę pozdrowić Janusza W.

Edward Stachura

Wzmianka na temat ewentualnego spotkania w Kanadzie jest związana z projektowanym przez Władysławę Zossel odwiedzeniem ciotki mieszkającej w Kanadzie. Janusz W., którego Stachura pozdrawia, to ratownik z kąpieliska w Kluczkowicach, lublinianin, Janusz Wilczyński; Sted zaprzyjaźnił się z nim podczas ostatniego pobytu u p. Zossel.

W 1974 r. Władysława Zossel przeniosła się do Lublina, podejmując pracę w tutejszym Muzeum Józefa Czechowicza. Kolejna korespondencja Stachury zaadresowana jest: „Pani Władysława Zossel, ul. Narutowicza 10, Muzeum Józefa Czechowicza, 20-004 LUBLIN”. Na włożonej do koperty kolorowej pocztówce przedstawiającej „Łomżyńską koronkę klockową z lat 1880-1914”. Sted napisał:

²⁵ Podróż trwała od ostatnich dni sierpnia 1974 roku do pierwszych dni maja 1975 r.

XIII

W-wa 15.8. [19]76

Droga Władko,
dziękuję za Twoją wierną przyjaźń. Zawsze mnie dobroślawisz.
Dziękuję. Jak zapewne wiesz, nie zawsze jest „letko”. I dobrym
słowem często można celnie trafić demona.
W Kluczkowicach było mi bardzo wspaniale, tak za pierw-
szym, jak i za drugim razem, , kiedy to gościła mnie Twoja
Mama, którą ode mnie serdecznie ucałuj i pozdrów.
Ciebie oczywiście też bardzo pozdrawiam i na pewno odwie-
dzę, kiedy zdarzy mi się zawadzić o Lublin.
Bądź dzielna, czego i sobie życzę
Sted

Ostatni list, jaki został przez Edwarda Stachurę wysłany do Lublina, to
chyba ten – adresowany do Władysławy Zossel-Wojtysiakowej, w odpo-
wiedzi na jej kartkę świąteczną, list z 12 stycznia 1978 r.:

XIV

[Zaadresowane: Pani Władysława Zossel, ul. Narutowicza 10, 20-004
LUBLIN, Muzeum J. Czechowicza]

W-wa 12 I [19]78

Władko,
piszesz, życząc noworocznie: „Jasnej Gwiazdy dla mroków
ciała”. Ciało nie zna mroków; ciało i jasna gwiazda – to jest to
samo. Mrokiem jest to, co zamieszkuje ciało. Co to jest?
Się to nazywa. JA.
Bądź zdrowa. Pozdrowienia dla Mamy i uśmiech dla maleń-
stwa. Tylko nie mów, że to najpiękniejsze dziecko świata.
A jeżeli tak mówisz, to bądź świadoma tego, że to nie o dziecku
mówisz, lecz o sobie (w domyśle: „Jestem matką najpiękniej-
szego dziecka świata”).

List był bez podpisu. Do listu dołączył Stachura maszynową kopię dokonanego wraz z Michele Deguy francuskiego przekładu wiersza Józefa Czechowicza *deszcz w concarneau*:

la pluie à concarneau

*tout bas sur la terre les nuages roulés en poing
la fille plonge le seau blanc dans le golfe
les vagues battent une part de l'horizon
les voiles ont caché l'autre devant l'oeil scrutateur*

*derrière le roc couleur cerise le vent s'ébrouait
j'ai essuyé mes mains à la feuille d'un arbre
l'orage approche il est temps que je m'en aille
lorsque la barque ballotée pressurait l'écume
ses voiles gonflèrent jeune fille*

*un lointain combat détonait dans le toit de l'immeuble
c'était le vent qui jouait dans le tôles mal ajointées
les contours des choses s'effacèrent puis un souffle soudain
et la pluie comme un rideau tomba dans des plis elliptiques*

Ze starszym od niego o siedem lat francuskim poetą Michele Deguy, autorem licznych zbiorów wierszy, redaktorem – w latach 1964-1971 – pisma „Revue de poésie”, wykładowcą literatury francuskiej na Uniwersytecie Paris 8, Stachura pozostawał w przyjaźni od kilku lat. W 1977 r. wyszedł w Polsce, w przekładzie Edwarda Stachury, tomik będący wyborem poezji Michela Deguy, zatytułowany: *Wiersz i jego wiara*; z kolei Deguy miał tłumaczyć na francuski *Fabula rasa* Stachury²⁶. Czy wspólny przekład *deszczu w concarneau* był manifestem przyjaźni dwóch poetów, czy też – wyrazem ich wspólnego hołdu dla talentu Czechowicza?

²⁶ Od sierpnia 1977 roku Stachura przebywał we Francji, gdzie tłumaczył (na język francuski) swoją książkę *Fabula rasa*. W tym przedsięwzięciu pomagał mu przyjaciel Michel Deguy. Pod koniec pobytu (w liście do Danuty Pawłowskiej z 18 października 1977 r.) donosił: „Kropka postawiona po trzech miesiącach bardzo ostrej roboty po 15 godzin dziennie”. Ogrom starań nie został uwieńczony sukcesem w postaci wydanej książki. Pisarz samodzielnie i przez francuskich znajomych długo i bezskutecznie szukał wydawcy.

W 1930 r. Józef Czechowicz wyjechał do Francji na kilkumiesięczne stypendium twórcze, przyznane mu przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. W Bretanii odwiedził m.in. Concarneau, kilkutysięczne malownicze miasteczko z otoczonym XIV-wiecznymi murami, położonym na małej wysepce starym Ville Close, z rybackim portem i pięknymi plażami w morskich zatokach. Napisany później, najprawdopodobniej już po powrocie do Lublina, *deszcz w concarneau* jest jednym z refleksów tamtych francuskich wędrówek Czechowicza:

*nisko nad łodem chmury zwinięte w pięść
dziewczyzna białe wiadro zanurza w zatokę
trzepocze się falami horyzontu część
żagle zakryły drugą przed patrzącym okiem*

*spoza skały wiśniowej wiatr prychał jak zwierzę
obtarłem o liść ręce burza czas mi odejść
gdy barka rozhuśtana gniotła w pianach wodę
płótna jej się wydęły dziewczęco i świeżo*

*niby daleka bitwa na budynku grzmiał dach
to w źle przybitych blachach i krokwiach wiatr zagrał
znikły kontury rzeczy zaszumiało z nagła
deszcz spadł niby kurtyna w eliptycznych fałdach*

Czyżby ten francuski przekład wiersza spoczywającego od czterdziestu już lat na lubelskim cmentarzu Józefa Czechowicza, na którego grobie spał niegdyś, za lubelskich studenckich czasów, początkujący wówczas poeta Edward Stachura, sam przed laty czterdziestu we Francji urodzony, czyżby ten wiersz w liście przesłany był formą pożegnania Steda z Lublinem – przed ostatecznym pożegnaniem ze światem?

W półtora roku później, 24 lipca 1979 r., Stachura odebrał sobie życie.



Posłowie -

Wspomnienie poświęcone Edwardowi Stachurze jest fragmentem większej całości pt. *Lubelskie lata Edwarda Stachury. Okolica artystów*. Część dotyczącą autora *Siekierezady* postanowiono wydać osobno, by upamiętnić jego pierwszy wieczór autorski, który odbył się w skutym mrozem Lublinie pięćdziesiąt lat temu. Decydując się na takie działania wydawca wierzy, że ten literacki fakt przypomni nie tylko postać Stachury, ale także jego przyjaciela. Być może będzie to dobry zaczyn pod działania, które zakończą się wydaniem książki w postaci, którą zakładał autor.

Wspomnieniom Dereckiego bliżej do tekstu literackiego niż dokumentu, co nie pozostawało bez znaczenia podczas przygotowywania go do druku. Ingerencje ograniczono do minimum, by nie naruszać integralności tekstu. Wprowadzone komentarze funkcjonują na zasadzie dopowiedzeń i mają pomóc czytelnikowi zbudować możliwie pełny obraz opisywanej rzeczywistości. Książka, która trafia dziś do rąk czytelników, to najpełniejsza relacja dotycząca czasu, który Edward Stachura spędził w Lublinie. Bardzo wyraźny akcent osobisty jest jednym z komponentów tekstu i stanowi o jego wartości. Mirosław Derecki w swej relacji przywołuje różnego typu dokumenty. Przeplatając je wspomnieniami rekonstruuje związki autora *Calej jaskrawości* z Lublinem, a nie należały one do najłatwiejszych.

Dziś mamy dostęp do grupy dokumentów, które autorowi wspomnień nie były znane lub też nie zostały przezeń wykorzystane. Doskonale wkomponowują się one w relację Dereckiego. Przytaczanie w niniejszym posłowniu fragmentów listów Stachury i różnego typu pism jest próbą zrekonstruowania ówczesnej rzeczywistości z jego punktu widzenia.

Trudno powiedzieć dlaczego Stachura wybrał Lublin i studia na KUL-u. Wiele wskazuje na to, że po niepowodzeniu dostania się na wydział malarstwa sztalugowego Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku starał się uciec przed poborem do wojska. Sprawa ta długo nie dawała pisarzowi spokoju. W liście z roku 1961 do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego czytamy:

„Drogi, Kochany Panie Kazimierzu,
przepraszam, że nie pisałem tak długo. Przepraszam bardzo. Jestem w Warszawie od jesieni. Przez tyle miesięcy nie ruszałem się nigdzie. [...] Będę zimował w Warszawie. Mam spanie załatwione nieprzerwane. W Domu Akademickim prof. Maciej Żurowski załatwił mi łóżko. I studia mi załatwił na Uniwersytecie. Dobry jest dla mnie niezmiernie. Jestem już zameldowany. Jak załatwię wojsko, to będę Lord, Markiz [...]”.

Podjęcie studiów na katolickiej uczelni odbywało się w dużym pośpiechu. W Archiwum Uniwersyteckim zachowało się podanie przyszłego studenta pod którym widnieje data 24 IX 1957 r.: „Uprzejmie proszę o warunkowe dopuszczenie mnie do egzaminów wstępnych na filologię francuską. Oświadczam, że wszystkie dokumenty dostarczę do dn. 26 bm. Równocześnie oświadczam, że w bieżącym roku nigdzie nie starałem się o przyjęcie na studia wyższe”.

Kiedy wreszcie dostał się na studia nie można powiedzieć, że wszystko układało się dobrze. Ówczesna sytuacja Stachury była bardzo trudna, odbiło się to w listach do znajomych. W liście z 25 października 1957 r. pisał do Mieczysława Czychowskiego:

„Drogi Mój!
Inaczej wyobrażałem sobie swoje studia. Nie mam akademika, ani stypendium. W dodatku jestem bardzo chory, mam gorączkę i co dziwniejsze coraz częściej nawiedzają mnie krwotoki nosa. Mietek! jestem prawie w beznadziejnej sytuacji. Nie mam złamanego grosza przy duszy, i nie mam gdzie spać. Mieszkam gdzie się da, raz tu, raz tam trafiając najczęściej na dworzec. Wyciąganie forsy od kobiet napawa mnie

już wstrętem. Czynię to jednak nadal, gdyż inaczej umarłbym z głodu, albo musiałbym zrezygnować ze studiów, co niechybnie się stanie, jeśli coś się nie zmieni”.

Rok później sytuacja nie jest dużo lepsza. W liście do Czychowskiego z 13 stycznia 1958 r. pisze o trudnościach z przystosowaniem się do uczelnianego trybu życia:

„Kochany Mietku!

Co słyszać u Ciebie? Napisałem Ci przed świętami list, na który nie odpisałeś. Przypuszczam, że na pewno masz dużo roboty i dlatego nie odpisałeś. Mój pobyt w Lublinie prawdopodobnie dobiega końca. Miałeś jednak rację mówiąc mi kiedyś, że nie potrafię studiować, gdyż jestem włóczęgą z urodzenia. Wyobraź sobie, że mam teraz kupę kolokwii (których się nie obawiam absolutnie), a nie mam jeszcze wyrobionego indeksu.

Nie wyobrażasz sobie jaką męką jest dla mnie załatwianie tego rodzaju formalności. Poza tym, cholerny kłopot z łaciną¹. Nie byłem na żadnym lektoracie. Lektoraty z łaciny są zawsze o wpół do ósmej. Trzeba jeszcze przed tym zjeść śniadanie w stołówce. Aby więc zdążyć trzeba wstać przynajmniej za 15 siódma. Jakżesz mogę wstać tak wcześnie, jeśli co dzień kładę się spać o drugiej, trzeciej nawet o czwartej, gdy mam ciekawą książkę. Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie gdy zrezygnuję ze studiów. To nie dla mnie. Bardzo dużo czytam i piszę”.

Podobny nastrój panuje w listach Stachury do Przybosia (8 XII 1958 r.):

„Drogi Panie,

cóż mogę Panu napisać; że głód jest ciągle moim najwierniejszym towarzyszem, że oczarowała mnie pewna reprodukcja Miró, że odmówiono mi wczoraj talerza zupy w KUL-owskiej

¹ Na egzaminie z łaciny w roku akademickim 1958/59 Stachura otrzymał ocenę „dobry”. Kłopoty miał z etyką (niedostateczny) oraz Historią lit. francuskiej (niedostateczny). Na podstawie akt osobowych Edwarda Stachury znajdujących się w archiwum KUL.

stołówce [...] że marzę za czystą pościelą, że bardzo chciałbym być czasami rzeźnikiem lub członkiem chóru, że mógłbym już oddać do muzeum płaszcz i buty, [...] że jestem zupełnie niewinny, że wszystko jest bardzo, bardzo smutne, że bardzo, bardzo kocham siebie, cóż mogę Panu napisać?! -
Oto dwa ostatnie wiersze.
Są niewątpliwym strzępem mojej duszy -
Śp. Stachura” -

Litościwi koledzy przygarnęli Stachurę do pokoju w akademiku UMCS-u. Mógł spać – w tajemnicy przed administracją – w tzw. „gołębniku”, czyli czymś w rodzaju obszernego pawlacza nad drzwiami, w którym trzymano bagaże. Niestety nie trwało to długo:

„Lublin przeklęty, 10 kwietnia 1959

Drogi, kochany Panie!

Proszę wybaczyć mi wstęp, który może wydać się Panu zbyt długim. Kilka dni temu Komisja Administracyjna odkryła moje gniazdo „gołębnik”, w „gołębniku” moje gniazdo i mnie. W brutalny, brzydki sposób wyrzucono mnie, wypłuto z Akademika, nie pozwalając mi przespać do rana. To wszystko działo się kilka minut po 24. Wyrzucony, wypłuty stałem chwilę przed drzwiami, nocą i tym przeklętym miastem. Nie myślałem chyba dokąd skierować kroki [...]. Wsadziłem możliwie głęboko ręce do kieszeni i zacząłem iść w kierunku miasta. (Akademiki UMCS-u są nieco za miastem – *les suburbains de la ville*². Od miasta dzieli je duża przestrzeń, na której grasuje „agora fobia”³). Jestem wolny, wolny, wolny – powtarzałem cicho. Kiedy tak szedłem, zdarzył mi się mały incydent z pijanymi studentami, który⁴ Panu nie opowiem [...]. Jakaś siła zawiodła mnie przed Dom Akademicki KUL. Brama była zamknięta. I nagle myśl jak promień słońca dziurką od klucza na przestrzał. A może, może otrzymałem dzisiaj *L i s t*. Nieśmiała nadzieja, że może... od Pana.

² „*les suburbains...*” – (fr.) na przedmieściach miasta.

³ Prawdopodobnie chodzi o agorafobię.

⁴ Zachowano składnię autora.

Dzwonię. Po kilku minutach zaspany stróż. Wchodzę; przepraszam, że nie mam dwóch złotych, że nie mam złotówki, 50 groszy nawet. Stróż mruczy pod nosem. Chwytam kilka słów:
„...na wódkę to macie”.

Złą sytuację finansową poety potwierdził ojciec Stachury w oficjalnym piśmie skierowanym do władz uczelni: „Aleksandrów, 4 V 1957. Niniejszym zaświadczam, że syn mój Edward Stachura nie otrzymuje ode mnie żadnej pomocy pieniężnej i materialnej. Niezmiernie mi przykro o tym pisać, ale ja mu nie mogę nic dopomóc. Stanisław Stachura”.

Stachura nie miał w Lublinie łatwego życia. Nie bez przyczyny wiele lat później we *Wszystko jest poezja* pisał: „Są takie miasta, które trzeba nie tylko porzucać, ale jeszcze z daleka omijać, nie zachodzić do nich przejazdem, bo nic ci się w nich nie wiezie”.

Podczas spotkania autorskiego w Kluczkowicach, które przywołuje w swych wspomnieniach Derecki, autor *Siekierzady* przyznał, że zdarzają mu się niebezpieczne sytuacje i nie zawsze on jest bez winy. Być może echo właśnie tego typu historii dotarło w końcu – drogą oficjalną – na uczelnię.

W Kancelarii Rektorskiej KUL 8 maja 1958 r. zostało sporządzone pismo o następującej treści: „Z polecenia Przewodniczącego Senackiej Komisji Dyscyplinarnej uprzejmie zawiadamiam, o wszczęciu postępowania dyscyplinarnego przeciwko Edwardowi Stachurze, stud. I roku Fil. francuskiej, z powodu czynów nie licujących z godnością studenta Katolickiego Uniwersytetu”⁵.

Już 14 maja 1958 r. Stachura, decyzją dziekana, został skreślony z listy studentów KUL. Oficjalny powód: „niedopuszczenie do egzaminów w semestrze II”.

Nie udało się ustalić, czego postępowanie dotyczyło.

Rok później kłopotów nie ubyło. Przed pisarzem stało widmo nie zdanych egzaminów i kolejna już groźba skreślenia z listy studentów. Stachura wystosowuje do dziekana jedno ze swych słynnych później podań:

„Uprzejmie proszę o dopuszczenie mnie do egzaminu z hist. literatury francuskiej. Zdaję sobie sprawę z wszystkich moich nierozważnych czynów i boleję nad nimi jak mądry. Chciałbym, bardzo chciałbym zaliczyć ten rok i przenieść się na inny uniwersytet. Ja się mogę wydawać rozmaicie, ale nie posiadam tego talentu, proszę mi wierzyć. Ja myślę, że nikt nie powinien

⁵ Historia powtórzyła się rok później.

mi tego zabraniać, bo mimo wszystko, jestem czysty naprawdę i trochę czułości mnie też się należy, bo to jest jak oliwa na wodę. Uprzejmie proszę o przychylne załatwienie mojej prośby”.

Jeden z ostatnich dokumentów, jaki Stachura zostawił na KUL-u brzmi:

„Oświadczam, że zobowiązuję się zwrócić KUL-owi równowartość za otrzymane w czasie mojego studiowania stypendium żywnościowego”.

Faktem jest, że Stachura oceny poprawił kolejno: we wrześniu i w październiku. Po zdaniu egzaminów poprawkowych wyjechał z Lublina. W liście z 3 maja 1960 r prosił Kazimierza Zająca – pracownika dziekanatu – o przesłanie «papierów» na warszawski adres Stanisława Grochowiaka (ul. Morszyńska 3/7)”.

Pomimo wielu nieprzyjemności, których tu doznał, Lublin był dla Stachury miastem powrotów. Wraz z wyprowadzeniem się na stałe do Warszawy nie przekreślił lubelskich znajomości, nie zaprzestał przyjazdów, po latach obraz miasta odbijał się echem na kartach jego książek.

W przywoływanym już liście do Kazimierza Zająca pisał:

„Wróciłem przed dwoma dniami z Wrocławia, w którym przebywałem miesiąc chyba, i dobrze przebywałem, bo miałem gdzie spać i co jeść i pisałem dużo i wspaniale. Czasami tęsknię do Lublina, choć było to dla mnie miasto przeklęte, i w którym opadały mnie co jakiś czas, bardzo często nieszczęścia jedno po drugim, jak z puszki Pandory”.

Dariusz Pachocki

Indeks osób -

Anna, zob. Jakubiszyn-Tatarkiewicz Anna
„Attikus”, zob. Mikulski Zygmunt

Babiński Andrzej – 8, 24
Bartkowska Anna Zyta – 60
Bechczyc-Rudnicka Maria – 40, 58-60, 62-63
Bereza Henryk – 7
Bielski Konrad – 11, 58, 60
Bordowicz Maciej Zenon – 53
Brassens Georges – 9, 32
Braun Kazimierz – 5
Burek Tomasz – 67

Camus Albert – 40
Czechowicz Józef – 31, 56, 78, 85-86
Czychowski Mieczysław – 19, 90-91

Deguy Michel – 85
Derecka Ewa, zob. Mościbrodzka Ewa
Derecki Mirosław – 4-5, 10-11, 18, 46, 48, 54, 56-57, 59-64, 73, 77-78, 89, 93
Derecki Mirosław Jan Stanisław, zob. Derecki Mirosław
Dobrzański Henryk – 5
Domarańczyk Zbigniew – 15, 24, 29, 33, 45
D.P., zob. Pachocki Dariusz

Edward, Edek, zob. Stachura Edward
Eliana – 19

Falkowski Zbigniew – 22
Flisiński Wacław – 5

Gajewska Olga – 10, 48-49, 63, 65
Gałkowski Tadeusz – 9
Gąsiorowski Krzysztof – 53
Goethe Johann Wolfgang – 40
Goliński Włodzimierz – 19
Gombrowicz Witold – 50
Gralewski Wacław – 11, 56, 58-59
Grochowiak Stanisław – 94
Grześkowiak Kazimierz – 10, 24, 68, 76-77, 80

Hamilton, zob. Słojewski Zbigniew
Hemingway Ernest – 9

Irek, zob. Kamiński Ireneusz J.
Iwaszkiewicz Jarosław – 54

Jakubiszyn-Tatarkiewicz Anna – 40
Janusz W., zob. Wilczyński Janusz
Jastrzębiec-Kozłowski Andrzej – 53
Jaworski Kazimierz Andrzej – 10, 53-55, 57-60, 62-63, 68, 90
Jaworski Marek Adam – 63
Jerzyna Zbigniew – 53
Jesienin Sergiusz – 59

KAJ, zob. Jaworski Kazimierz Andrzej
Kamieńska Anna, 68
Kamiński Ireneusz J. – 9, 23-24
Kawalec Julian, 68
Kazimierz, zob. Jaworski Kazimierz Andrzej
Kierski Jerzy – 43
Klechta Jerzy – 27
Kleniewscy – 71, 78

Kłak Tadeusz – 10, 39, 44, 46-47

Konopnicka Maria – 28

Kosz Mieczysław – 82

Krzysztoń Jerzy – 68

Księski Jerzy – 60, 63-64

Kukliński Janusz – 11

Kwiatkowski-Cugow Tadeusz – 24

Lenartowicz Teofil – 28

Leszin-Koperski Jerzy – 53

Łoś Ewa – 60

Machejek Władysław – 68

MAJ, zob. Jaworski Marek Adam

Mama, zob. Zossel Olga

Markiewicz Jarosław – 53

M. D., zob. Derecki Mirosław

Meyerson Emil – 78

Michalski Waldemar – 11

Mietek, zob. Czychowski Mieczysław

Mikulski Zygmunt – 10, 21-22, 32, 46-50, 57

Mirek, zob. Derecki Mirosław

Miró Joan – 91

„Mistrz”, zob. Mikulski Zygmunt

Mościbrodzka Ewa – 4, 11

Nadulski Edward – 60

Olczak Janusz – 24, 57

Olga, zob. Gajewska Olga

Opacki Ireneusz – 40

Oryszyn Zyta, zob. Bartkowska Anna Zyta

Pachocki Dariusz – 18-20, 57, 60, 94

Pająk Henryk – 27, 33, 68

Pani Zossel, zob. Zossel Olga

Papierkowski Zdzisław – 27

Papież Wojciech – 10, 57
Parczewski Witold – 67
Pawlak Ryszard – 22
Pawłowska Danuta – 85
Pic de Replonge – 4
Pilorz Alfons – 20
Popowski Zdzisław – 59
Przyboś Julian – 91

Rosiak Roman – 60
Rostworowski Stanisław Jan – 10, 56
Rutkowski Krzysztof – 15
Rychert Waław – 61
Rychertowie – 10, 79

S., zob. Stachura Edward
Sadowska Barbara – 78
Sartre Jean-Paul – 9
„Sasza”, zob. Grześkowiak Kazimierz
Schiller Friedrich – 40
Sevin Piotr Paweł – 82
Słojewski Zbigniew – 67
Słomkowska-Strzałkowska Nell – 19
Słowacki Juliusz – 40
Stachura Edward – 7-11, 13, 15- 24, 27-33, 35-41, 43-50, 53, 55-68, 71-94
Stachura Jerzy Edward, zob. Stachura Edward
Stachura Monika – 19
Stachura Stanisław – 91
Sted, zob. Stachura Edward
Steppek Zbigniew – 60
Steinbeck John – 9
Strug Andrzej – 30
Strzałkowski Zbigniew – 10, 23, 24, 27

Śliwiak Tadeusz – 68

Tatarkiewiczowa Anna, zob. Jakubiszyn-Tatarkiewicz Anna
Tchórzewski Andrzej – 15, 22, 27

Tkaczuk Waław – 8
Tomanek Adam – 40
Turczyński Andrzej – 22
Turowski Artur – 56
Turowski Konstanty – 27

Vercors – 9
„Villon”, zob. Stachura Edward
Vivaldi Antonio – 78

Wawer Włodzimierz – 80
Wilczyński Janusz – 83
Władysława, Władka, zob. Zossel Władysława

Zaborski Zbigniew – 27
Zagroba Bogdan – 24
Zając Kazimierz – 94
Zajdler Wojciech – 22
Zalewski Ludwik – 48
Zaniewski Andrzej – 53
Zarębski Stefan – 40, 43, 55
Zbyszek, zob. Domarańczyk Zbigniew
Zechenter Witold – 68
Zossel Olga – 78, 80-82, 84
Zossel Władysława – 10, 71-76, 78-84
Zossel-Wojtysiakowa Władysława, zob. Zossel Władysława
Zyta, zob. Bartkowska Anna Zyta

Żernicki Janusz – 53, 57-58
Żurowski Maciej – 53, 90

Aneks -



Edward Stachura z kolegą na torach kolejowych w Łazieńcu, ok. 1955 r. Archiwum rodzinne.



Lech Rojek, Eugeniusz Stępkowski, Edward Stachura, Jan Stachura, Damazy Bednarski. Aleksandrów Kujawski, ok. 1955 r. Archiwum rodzinne.



Edward Stachura w Łazieńcu, ok. 1955 r. Archiwum rodzinne. -



2 Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie

Nazwisko i imię Stachura Jerzy

Poświadczenie

R o k		Wpisany na semestr	Podpis dziekana	Pieczęć
szkolny	studiów			
1957/58	I	I	Z. Sutkowski	
"	"	II	Z. S.	
Przypisy porównane na studiach 1958/59	I	I	Z. Sutkowski	
"	"	II	Z. Sutkowski	

Indeks Edwarda Stachury wydany przez Wydział Nauk Humanistycznych KUL, 26 października 1957 r.

K. FRANCUSKA

Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie

Wydział Nauk Humanistycznych

Nr alb. 16.208.

I N D E K S

Stachura

Nazwisko Jerzy Edward

Imiona Stanisław

Imię ojca Stanisław ur. dn. 18. VIII. 1937 r.

w Charriou pow. Francja

[Signature] Rektor [Signature] Dziekan

Lublin dn. 26. X. 1957 r.

Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie

3

wpisu

R o k		Wpisany na semestr	Podpis dziekana	Pieczęć
szkolny	studiów			



Akwarela Edwarda Stachury zamieszczona w piśmie „Kultura i Życie”,
nr 21 z 8 czerwca 1958 r.



Data wpływu _____

Nr _____

DO OBYWATELA REKTORA

Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
(nazwa szkoły)

Podany przez siebie na studiach

W _____

PODANIE

Stachura Edward

(imię i nazwisko)

Aleksandrow - Kuj - Aleksandrow

(miejsce stałego zamieszkania)

12

Proszę o przyjęcie mnie na Wydział humanistyczny

Jako kierunek studiów wybieram: filologię francuską

Do podania załączam:

1. Świadectwo dojrzałości w oryginale z ukończenia Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni

Nr _____ z dnia _____ 1958 r.

2. Metrykę urodzenia¹⁾

3. 3 fotografie o wymiarze 37 × 52 bez nakrycia głowy na jasnym tle

4. Orzeczenie lekarskie

5. _____

6. _____

7. _____

8. _____

9. _____

oreniec, dnia 27 1958 r.

Stachura Edward

(Podpis)

¹⁾ Kandydaci, którzy składają podania za pośrednictwem szkoły średniej, winni dołączyć odpis metryki urodzenia potwierdzony przez dyrektora szkoły.

Maturzyści z lat ubiegłych składający podania bezpośrednio do szkoły wyższej dołączają odpis aktu urodzenia — wraz z oryginałem, który po stwierdzeniu zgodności w szkole wyższej, otrzymają z powrotem.

UWAGA: Kandydaci ubiegający się o przyznanie stypendium wzgl. miejsce w domu studenckim winni dołączyć odpowiednie prośby oddzielnie o przyznanie stypendium, oddzielnie o miejsce w domu studenckim. Podanie o stypendium należy udokumentować zaświadczeniem stwierdzającym stan materialny najbliższej rodziny kandydata. Kandydat może do podania dołączyć także prośbę o zwolnienie od opłaty egzaminacyjnej.

Na odwrocie podania napisać czytelnie życiorys.

Podanie o przyjęcie na studia na filologię francuską na KUL
z 27 czerwca 1958 r.

ŻYCIORYS KANDYDATA

Urodziłem się 18. VIII / 1934 r. w Pont-de-Cherry (dep. Isère) we Francji. Działając w miasteczku i w Paryżu. Mając jeszcze 14 lat udało mi się za pośrednictwem zdolności lotnych w tym czasie załatwić rozpoczęcie do francuskiej szkoły elementarnej i trzy zawody się zmierzać jak nowe obrazy w fotoplastikonie. Drugą wojnę światową pamiętam tylko ze snów niekiedy, które oblatywały nas Amerykanie. Pamiętam jeszcze jedną, na której wzięłyśmy udział w której uczestniczyłyśmy w konkursie piersi dwa tygodnie. Kiedy miałem 11 lat rodzice doszli do wniosku, że należy opuścić Szwajcarię i powrócić do kraju, Szwajcarii Polski. Nie rozumiałem jeszcze wtedy słowa: nostalgia. Teraz dopiero rozumiem i doświadczyłem, że w nim zawiera się opowiadanie i krótkie słyszałem dużo o wielkich gramyjących w Polsce. W listopadzie 1948 r. przyjechałem do Polski. Nie widziałem nigdy wilków ale nie mogłem się spodziewać, że tak wiele będzie moje rozumowanie. Odnalazłem się w polnym miasteczku w Aleksandrowie-Kuj. Było to kiedyś graniczne miasteczko i otrzymało orenkę z przemysłu. Tutaj skończyłem szkołę podstawową. Ponieważ wykazywałem wyjątkowość zdolności oddałem mnie do „gimnazjum” w Ciechanowie, żeby zrobić ze mnie „inżyniera” lub „doktora”. Po trzech latach przenieśliśmy się do liceum ogólnokształcącego w Gdyni, gdzie także skończyłem i gdzie do tej pory słucham legendy jak uczyłem się na tamtejszej szkolnej gazetce. Jeden rok tym 1956 wyjechałem się do Polski napotykając wędrownie ślady wilków, a nigdy ich nie znalazłem. Potem załatwiłem studiować filologię francuską na W. H. L. w Gdyni, gdzie dotychczas doznałem kilku osób wnoszących mnie do głosu. Studia przeniósłem przede wszystkim z uwagi na to, że w tym miasteczku trwały już wtedy wielkie „ancêtres”

Edward Stachura

SW-18, CWD Bydgoszcz, zarn. 7363/Bz/57, nakł. 100.000, f. A4, pap. piém.
BSW „Prasa” Bydgoszcz, zarn. 3667, nakł. 100.000, f. A4

Życiorys Edwarda Stachury w podaniu o przyjęcie na studia na filologię francuską na KUL z 27 czerwca 1958 r.

Lublin 9-X/1959

Do
Dziekanatu Wydziału
Nauk Humanistycznych K.U.L.

Podanie

Upokojnie proszę o dopuszczenie mnie
do egzaminu z hist. literatury francuskiej.
Zdaje sobie sprawę z wszystkich moich
niekorzystnych czynów i boleję nad nimi
jak nadły. Chciałbym bardzo chiałbym zaliczyć
ten rok i przenieść się na inny filuminterystet.
Ja nie mogę wydać sobie racji, ale nie pow-
dam tego talentu, proszę mi wierzyć. Ja myślę,
że nawet nie pojmuję mi tego zabranie
bo mimo wszystko, jestem czysty na prawdę
i trochę ambicji mnie też się należy, a bo
to jest jak oliwa na wodę. Upokojnie proszę
o przychylne załatwienie mojej prośby.

Oprócz Szelej

Należałoby chyba uczcić
zdecyzować
Lublin, 12-X-59

Egzamin do 13 X 59 wstawić

Edward Stachura



Podanie Edwarda Stachury z prośbą o dopuszczenie do egzaminu z historii literatury francuskiej z 9 października 1959 r.

Warszawa 3 Maja 1960 1. Biblioteka - zaległości mi ma

Drogi Panie Kazimie,

pożegnaniem Pana serdecznie i proszę
upamięniać nad wyraz o przestanie mi
papierów moich na adres:

Stanisław Grochowiak

Warszawa 36

Morszyńska 3/4

(dla Steda)

Wracam przed dwa dniami z Wrocławia,
w którym przekonałem się, że chyba i dobrze
przeżyłem to miasto gdzie spać i co jeść,
i pić i dużo i wspominać. Czasami tęsknię
do Lublina, choć było to dla mnie miasto
precyzyjne i piękne i w którym opadały mi
co jakiś czas, bardzo często, niezapamiętane jedno
po drugim już z puszek Pandory. Był problem
dostać się na Uniwersytet Warszawski, choć nie potrafię
zupetnie takich rzeczy, i choć wiem, że dla mnie
akademia, to są wiatry przestronne i ja wróciłem
nich jestem ulubieniec.

Więc niech Pan mi niezwłocznie, bardzo
proszę, papieraś owe, bez których było mi wcale
nieśmiertelne, ale teraz są mi potrzebne. Co?

Pożegnaniem serdecznie.

- Edward Stachura



List Edwarda Stachury do Kazimierza Zajęca, pracownika dziekanatu,
z 3 maja 1960 r.

15-wa 18-XI/64

Bracie Mirek !

"Nie wzmacniać - jak mówi Benia
Kryk - kamy po pustym stole",
przechodzę od rana do nocy.

Spół u mnie raczej brzydka
ostatnio, bo słowem się stypendium
Brownowskiego, a nie chciałbym nawiązać
zabawać się znowu do pokera
i szachów. Tylko w ostatniości.

Czy nie wolisz zatem być jakimś
jednym czy dwóch moich przyjaciół
w mieście Lublinie? Wiem dobrze, że
nie lubię tych imprez ~~ale~~ jeśli
się zgadzam na to, to coś w tym
musi być. Przyjemna.

List Edwarda Stachury do Mirosława Dereckiego z 18 grudnia 1964 r.

- 2 -

Wziąłem jakiś tydzień temu
z Paryża i wariat nie wychodzący
z chaty. W Paryżu było wesoło.
Romantycznie. Raz tak, raz tak, czyli
jak to mówią, na dwa razy.

Co do ewentualnych innych
wizytacji, to mogę Ci zapewnić,
że ci, którym przyszło posłuchać,
a myśleć, że takich by nie miało
sporo, nie przyjdą. Tyle o tym.

Teraz ściskam Cię. Są
święta Bożego Narodzenia i życzę
Ci z tej okazji wszystkiego
najlepszego.

~~Zachęta~~

Sted

Warszawa 26
Rebkowska 1 m 15

List Edwarda Stachury do Mirosława Dereckiego z 18 grudnia 1964 r.

W. wa 29. XII 64

Preśc Mirch

Dostałem ~~Twój~~ list : dziękuję za życzenia
noworoczne dla mnie i mojej żony. I my
życzymy Tobie i Twojej żonie tego samego: "wiele
pomyślności".

Byłem w Zurychu dzisiaj zapytałem o takowaną
"odejście" literatury. W tej chwili nie wiemy, co to
stanie i nowy rok i stare papiery pomieszczone są
z nowymi. Może coś wiadomości gdzieś za tydzień.
Więc wst. uważajcie co mówisz. Dajcie mi

- 2 -

chcę Ci powiedzieć, że jeśli nie Ci się nie uda,
to nie się takiego nie stanie. Z głodu nie
pomrę. Więc stary się, ale w miarę. Głęboko
Cię to miało za dużo kontrowersji - pisać wolno.

To ci dopiero wiadomość o odejściu
Bechun - Rudnickiej. Dochodziły mnie o tym
słuchy w Lublinie, gdy byłem, ale nie myślałem
że to prawda. I mówisz że my KAS-a na jej
miejscu. Ciekawe to jest, jak Ci się będzie układać
z nową robotą. Sy. Własnego nowego naczelnego zmian.
Poznałem go kiedyś u KAS-a na Wigiliu. Ale
nie wiem.

Trzymaj się - Sted

List Edwarda Stachury do Mirosława Dereckiego z 29 grudnia 1964 r.

W. wa 11-11/1965

Grześ Mirek

Co jest, że nie nie piszesz?
Ja dostatem niby swoją nagrodę
za opowiadanie, ale nigdzie nie
wypłacają pieniędzy, i poza tym
tak się zastanawiam, że po oddaniu
długów, zostanie mi z tej nagrody
wprawdzie trochę. Wtedy wogóle,
co załatwić, to będzie dobre.
A Ty milczysz! Może nie nie
chce wyjść? To napisz
Sashaan Taps.

Pozdrawia Panią Olgę serdecznie
A może pisać by jakieś
opowiadanie albo więcej. [Stef]

List Edwarda Stachury do Mirosława Dereckiego z 11 listopada 1965 r.

li. in 24-ii/65

Graci Miral

dziękuję za list. Eby dostatek słyszeć, proszę, aby
u mnie było to w podobnej doli niedużo
patrył w nawiązanie tej nagrody. I chęci powie
ciężko mówiam z mety addac, to jednak trochę
zostało i na plus was jest spokoj.

Olażo też odpowiedź ci spójniej, że
jest chłodzi o wieści KKM-u w terenie to tego
nie satysfakcja to je do tego zwracając, więc
dla dwa w Lublinie, moim, ale jedne po
nieporozumieniu i postanowiło hiting - to nie

Co do wersji to na przykład nie rozmawiam
tego w Twoim świecie, czy dwa dla kamery i dwa
dla kadra, czy dwa te same tu, tu. Bo jak
chłodzi o kadro, to dwa mogą być dla kamery
całkowicie nie mam. Słucham ostrożnie i uważnie
i hitpadni czy w przedmiocie w Twoim świecie
i jak chłodzi o wersje, to postaram się o zadanie
dla od cam do cam w Twoim świecie to być
mimo i wolno. Gdzie indziej nie być dokończ.

Co do odpowiedzi, to wari wygłosz ci
los wieści o kadra i o stron kłótni
nie mam. Ograniczając, że nie może być ten słowny
to nie. I każdy wie wygłosz ci je po adre-
kcyjnego podać tylko Polski kadro i obojętnie
ale ten mój i obojętnie. Nie i to wystarczająco, ale
kierując się tym wygłosz je Tobie.

- 2 -

Do "kawan" być może pisać coś trochę
pośpiechu. Ale jeśli stawią limit to raczej jednak
nie. Ma być sobie stawić jakiś limit, nie wystrasz
ani ustanie. Oczywiście będzie doskonałe rozwiązanie.
Piszesz mi po prostu jak gwarany stają.

O "akcje" literackie w Związku pisał, ale nie wie wiele. Jeszcze napiszę ostatecznie. Potem już będzie czekać, aż oni zaczną mnie pytać. Będzie wtedy ten pychyński ich swobodnie.

Być może będzie w bibliotece na przykład marca 22 2000, która chciałaby zobaczyć i być na tygodniowym filozoficznym KUL-u. Wtedy by podzieliła redakcję za swoje stawić, co oczywiście już teraz literaturze.

2. Nowyżba. Wobec niechęci nam nadszedł pychać sobie, dass wady. Masz dużo pracy, to nie jest nie. Bezobawie Ci więc nie goni.

Napisz mi o losach "Loni nieistotnego" jak to było co będzie wiadom. Pamiętaj, zadaj, chętnie. Albo całe, albo wcale.

Sarkany Tary
Zapisał w Związku co by było gdybyś, jak pisał, napisał do mnie albo do nich z opóźnieniem napisać. Ale nie wiem co to jest ta akcja literacka. Czy to masz, że Wy wtedy nie płacicie a płacicie Związek? Pochłóć redakcję Pamią Oleg.

List Edwarda Stachury do Mirosława Dereckiego z 24 lutego 1965 r.

W-wa 29. III. 72.

Nie przyjeżdżam
bo nie było mi onego czasu w W-wie, a
i potem przyjechać: dlatego dopiero
teraz odpisuję.

Zauważ, że nie możemy przyjechać.
MOŻE PRZYJECHAĆ 3 maja lub 4 maja.
Ale 3 maj - to jest ładna data.

Jadę tam do Norwegii i wracam z końca
kwietnia.

500 zł za "spotkanie z pisarzem"
nie przyda, bo choć jest u mnie ultrabankowo,
ale nie jest ultrafinansowo.

Podpisaniem ardeum i życiem
WESOŁYCH ŚWIAT

Mój adres:

Edward Stachura
Warszawa 5
ul. Miodowa 1
Poste Restante

Proszę w W-wie kilka dni
7, 8, 9 kwietnia (Do Norwegii jędz 10 IV)
Może będzie jakiś list od Ciebie
w tej sprawie.

List Edwarda Stachury do Władysławy Zossel z 29 marca 1972 r.

Józef Czechowicz

la pluie à concarneau

tout bas sur la terre les nuages roulés en poing
la fille plonge le seau blanc dans le golfe
les vagues battent une part de l'horizon
les voiles ont caché l'autre devant l'oeil scrutateur

derrière le roc couleur cerise le vent s'ebrouait
j'ai essuyé mes mains à la feuille d'un arbre
l'orage approche il est temps que je m'en aille
lorsque la barque ballotée pressurait l'écume
ses voiles se gonflèrent jeune fille

un lointain combat détonait dans le toit de l'immeuble
c'était le vent qui jouait dans les tôles mal ajointées
les contours des choses s'effacèrent puis un souffle soudain
et la pluie comme un rideau tomba dans des plis elliptiques

traduit du polonais
par e.s. et michel deguy

Przekład wiersza Józefa Czechowicza *deszcz w concarneau*, którego Edward Stachura dokonał wspólnie z Michelem Deguy.
Kopia z listu do Władysławy Zossel z 12 stycznia 1978 r. -



LUBELSKI SZLAK

EDWARDA
STACHURY

Legenda:

Mapa Lublina z 1957 r.

1. KUL – Al. Racławickie
2. Dom Studencki KUL – ul. Sławińskiego 8 (obecnie ul. Niecała)
3. Klub „Piwnica” – ul. Rynek 8
4. Cmentarz przy ul. Lipowej – grób Józefa Czechowicza
5. Klub „Nora” – ul. Krakowskie Przedmieście 32
6. Redakcja „Kameny” oraz siedziba Związku Literatów Polskich – ul. Graniczna 7
7. Dom Wycieczkowy PTTK – Plac Litewski 2
8. Restauracja „Lublinianka” – ul. Krakowskie Przedmieście 56
9. Dworzec kolejowy PKP
10. Dom Kazimierza Andrzeja Jaworskiego – ul. Bronowicka 14/4
11. Restauracja „Regionalna” – ul. Krakowskie Przedmieście 27
- ? Miejsce z wiersza „Bójka w L.”:

W samo południe na nieparzystym bruku, -

Co wydarzyło się? -

Oto spotkali się oko w oko -

Na rogu dwu toczących wojnę ulic; -

Z Nadbrzeżnej jedni wąskiej magistrali, -

Zaś drudzy z ulicy Jezuickie Rury. -

[...] -